

NIE CZYTAĆ O ZMIERZCHU!

III



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1983

A. M. BURRAGE

KOLEŻANKI

I

Choć każdy, kto znał Stephena Evertona, przyznawał, że to ostatni człowiek pod słońcem, któremu, można by pozwolić wychowywać dziecko, Monika miała szczęście, że się dostała w jego ręce. W przeciwnym razie prawdopodobnie przymierałaby głodem lub znalazłaby się w jakimś przytułku dla dzieci bezdomnych i opuszczonych. Co prawda ojciec jej, poeta Sebastian Threlfall, miał mnóstwo przypadkowych przyjaciół. Prawie każdy znał go trochę, i aż do chwili tragicznego dla niego ataku delirium tremens udawało mu się wyglądać na jednego z najbardziej interesujących regularnych bywalców Cafe Royal. Ludzie nie są jednak na ogół skłonni wychowywać dzieci przygodnych znajomych, zwłaszcza gdy można podejrzewać, że dzieci te dziedziczą więcej niż przeciętną część ludzkich słabości.

O matce Moniki nie wiadomo było dosłownie nic. Nikt nie potrafił powiedzieć, czy żyje, czy umarła. Zapewne już dawno porzuciła Threlfalla dla innego małżonka, mogącego i chcącego jej zapewnić regularne posiłki.

Everton znał Threlfalla nie lepiej, niż znało go stu innych ludzi, i nie wiedział o istnieniu jego córki, póki śmierć ojca nie stała się najświeższym tematem rozmów w środowiskach literackich i artystycznych. Gdy ludzie rozważali niepewnie, co się stanie z „dzieciakiem”, Everton po cichu zaadoptował dziewczynkę.

W „Who's Who” znajdziecie datę urodzenia Evertona, nazwy ukończonych przez niego college'ów oksfordzkich — Winchester i Magdalen — tytuły książek, które napisał, dowiedzie się też, że jego upodobania to łyżwiarstwo i wspinaczka górską, Lecz trzeba poznać tego człowieka trochę mniej powierzchownie. W owym czasie miał prawie pięćdziesiątkę, a wyglądał dziesięć lat starzej. Był wysokim, szczupłym mężczyzną z delikatną różową cerą, owalną głową, rzymskim nosem i niebieskimi oczami, które patrzyły łagodnie spoza silnych szkieł. Wargi miał wąskie, proste, zaciśnięte mocno nad lekko wysuniętymi do przodu zębami. Wysokie czoło było nagie, gdyż łysina sięgała aż do podstawy czaszki. Pozostała resztką włosów neutralnego szpakowatego koloru była krótko przycięta. Starał się mieć wygląd przyzwoity i surowy, inteligentny i uczony — jakiegoś Sherlocka Holmesa może, nieco kapryśnego.

Świat znał go jako autora książek na temat przełomowych chwil w historii. Były to książki ciężkie, o ciężkich tytułach, pisane przez uczonego dlauczonych. Przyniosły mu sławę i niemało pieniędzy, których nie potrzebował będąc dość zamożnym dzięki odziedziczonemu spadkowi. Był starym kawalerem, człowiekiem z natury zimnym, o regularnych, powściągliwych przyzwyczajeniach, wybrednym i lubiącym spokój oraz proste wygody.

Nikt prawdopodobnie nie wiedział, dlaczego Everton zaadoptował sierotę, córkę człowieka, którego ledwie znał, a nigdy nie darzył sympatią ani nie szanował. Nie lubił dzieci i skłonny był raczej do drwiny niż do sentymentalności. Ryzykuję tylko domysł, sugerując, że jak wielu bezdziejnych ludzi miał własne teorie na temat wychowania dzieci i chciał je naozaj sprawdzić. Pewne jest w każdym razie, że dzieciństwo Moniki, dość niezwykle poprzednio, z tragicznego stało się teraz groteskowe.

Everton zabrał ją z czynszowego domu w Bloomsbury, którego właścicielka, obarczona już nieściągalnym długiem, zastanawiała się, co zrobić z dzieckiem. Monika miała wtedy osiem lat i na swój skromny sposób była kobietą doświadczoną. Żyła w nędzy, brudzie, wśród pijaństwa. Nigdy się w nic nie bawiła i nie miała towarzyszek zabaw. Znała tylko marne i

żałosne strony życia. I nabrała wprawy w stosowaniu na wzór ojca drobnych wybiegów i brzydkich sztuczek. Była poważnym, ponurym, bladym i nieładnym dzieckiem, które nigdy nie zaznało dzieciństwa. Kiedy się odzywała, co czyniła jak mogła najrzadziej, głos jej brzmiał twardo i ochryple. Była, biedactwo, tak mało pociągająca, jaką być mogła, urobiona przez dotychczasowe życie.

Poszła z Evertonem bez pytań i sprzeciwu. Nie kwestionowałyby niczyjego prawa własności do własnej osoby bardziej, niż mogłaby to czynić sztuka bagażu pozostawionego w przechowalni. Należała przedtem do ojca. Teraz, gdy odszedł na zawsze, stała się własnością tego, kto ją zabrał. Everton zaopiekował się nią z chłodną uprzejmością, pozbawioną uczucia i litości. Ona w zamian nie obdarzyła go miłością ani wdzięcznością, lecz zachowywała się tak, jak sobie życzone, niczym płatna służąca.

Everton nie lubił współczesnych dzieci, a za to, czego w nich nie lubił, winił współczesne szkoły. Może dlatego nie posłał Moniki do żadnej szkoły. A może chciał się przekonać, jak dziecko potrafi samo zdobyć wykształcenie. Monika umiała już czytać i pisać i tak wyposażona miała swobodny dostęp do jego dużej biblioteki, w której znajdowały się prawie wszystkie możliwe rodzaje książek, od grubych tomów o tematyce trudnej i zawilej do bzdurnych nowoczesnych powieści, kupionych i pozostawionych tam przez pannę Gribbin. Everton nie zabraniał niczego i niczego nie zalecał, obserwował tylko, jak drzewko rośnie w sposób naturalny, nie pielęgnowane i nie przycinane.

Panna Gribbin, sekretarka Evertona, osoba w średnim wieku, była typem bezpłciowej kobiety o wąskiej, ostrej twarzy i płaskich piersiach, mogącej mieszkać bezpiecznie ze starym kawalerem, bez obawy, że któreś z nich narażone zostanie na obmowy. Do jej obowiązków doszło teraz nauczenie Moniki pewnych elementarnych rzeczy. Tak więc dowiedziała się ona, że człowiek o imieniu William Zdobywca przybył do Anglii w roku 1066. Ale chcąc wiedzieć, jaki był ten William, musiała iść do biblioteki i przeczytać kilka sprzecznych ze sobą opisów jego osoby, podanych przez kilku historyków. Od panny Gribbin uczyła się tylko nagich, niezbitych faktów, z resztą musiała dawać sobie radę sama. W bibliotece otaczało ją królestwo rzeczywistości i królestwo fantazji, drzwi do każdego z nich były zachęcająco uchylone.

Monika bardzo lubiła czytać. W gruncie rzeczy była to jej jedyna rozrywka, bo Everton nie znał innych dzieci w jej wieku, a ją traktował jak dorosłą osobę. Czytała więc wszystko, od tłumaczeń „Iliady” do Hansa Andersena i od Biblii do powieści współczesnych przesyconych erotyką.

Choć Everton obserwował ją bacznie i zasypywał niewinnymi na pozór pytaniami, nie zdołał nigdy zgłębić jej myśli. Chaotyczne marzenia, które snuć mogła na temat dziwnego świata otaczającego dom w Hampstead — świata bogów, wrózek, demonów, a także silnych, milczących mężczyzn kochających się z niechlujnymi młodymi kobietami — zachowywała dla siebie. Rezerwa była jedyną rzeczą, jaką miała wspólną z normalnym dzieciństwem. Everton zauważył, że nigdy się nie bawiła.

W przeciwieństwie do większości młodych stworzeń nie miała naturalnych skłonności do zabawy. Może ten instynkt zniszczyły w niej doświadczenia życia u boku ojca. Większość samotnych dzieci improwizuje jakieś zabawy i świetnie potrafi udawać, lecz Monika, posępna jak stworzenie w klatce, pozbawiona zarówno wdzięku, jak niegrzeczności, właściwych wiekowi dziecięcemu, rzadko płacząca, a jeszcze rzadziej wybuchająca śmiechem, poruszała się po domu spokojna i nieożywiona, jakby była z drewna. Eksperymentalista Everton miewał czasem wyrzuty sumienia i chwile trwogi.

II

Kiedy Monika miała dwanaście lat, jej opiekun przeniósł się z Hampstead do domu położonego daleko, w środku hrabstwa Suffolk, który był częścią otrzymanego świeżo przez niego spadku. Był to wysoki, prostokątny dom w stylu z czasów królowej Anny, stojący na wzgórzu ponad bagnistymi polami i lasami brzoźowymi chłostanymi wiatrem. Dawniej była to wiejska posiadłość, lecz teraz niewiele ziemi należało do dworu. Krótki podjazd między dwoma rzędami wiecznie zielonych krzewów prowadził do ciężkiej kutej żelaznej bramy, do gazonu i klombów przed domem. Za domem znajdował się na pół zapuszczony ogród, wydany na pastwę chwastów. Pokoje były wysokie, lecz całe wnętrze przepełniała atmosfera przygnębienia, jakby dom był żywą istotą nie mogącą się otrząsnąć z jakiegoś dawnego napadu melancholii.

Everton zamieszkał w tym domu z różnych powodów. Przez blisko rok próbował daremnie wynająć go lub sprzedać i dopiero kiedy stwierdził, że bez trudu pozbędzie się domu w Hampstead, powziął decyzję. Stary dwór w dalekim Suffolk, oddalony o milę od najbliższego miasteczka, mógł zapewnić mu samotność, której pragnął. Ponadto dbał o swoje zdrowie — jego system nerwowy nigdy nie był zbyt mocny — a lekarz zalecił mu ożywcze powietrze wschodniej Anglii.

Nie przejął się tym wcale, że dom był dla niego za duży. Meble, które posiadał, wypełniły taką samą liczbę pokoi, jaką wypełniały w Hampstead, resztę pozostawił pustą. Nie zwiększył też liczby służby, składającej się z trzech osób zatrudnionych w domu i ogrodnika. Towarzyszyła mu panna Gribbin, mniej niezbędna niż przedtem. Razem z nimi przybyła Monika, aby poznawać inne aspekty życia z tym samym kamiennym stoicyzmem, który zaobserwował u niej Everton, gdy pierwszy raz się zobaczyli.

Obowiązki panny Gribbin wobec Moniki stawały się coraz bardziej tym, co można określić mianem synekury. „Lekcje” zajmowały teraz nie więcej niż pół godziny dziennie. Monika z wiekiem potrafiła coraz lepiej „ryć” w bibliotece, pogłębiając swoją edukację. Nie łączyła ją z panną Gribbin ani sympatia, ani przywiązanie i żadna z nich niczego nie udawała. W poczuciu wspólnego obowiązku wobec Evertona spełniały pewne obowiązki wobec siebie. Na tym jednak zaczynały się i kończyły ich wzajemne stosunki.

Z początku dom podobał się i Evertonowi, i pannie Gribbin. Odpowiadał tym dwóm usposobieniom z natury pozbawionym wesołości. Monika zapytana, czy dom jej się podoba, odpowiedziała po prostu „tak” tonem, który świadczył o całkowitej obojętności.

Wszyscy troje na swój sposób prowadzili takie samo życie jak w Hampstead. W Monice zaczęła się jednak dokonywać powolna zmiana, tak nieznaczna i subtelna, że minęły tygodnie, nim Everton i panna Gribbin ją zauważyli. Wczesną wiosną któregoś popołudnia Everton po raz pierwszy zdał sobie sprawę z czegoś niezwykłego w zachowaniu Moniki.

Szukał w bibliotece książki „Upadek Commonwealthu w Anglii” i nie mogąc jej znaleźć, poszedł poszukać panny Gribbin, lecz zamiast niej spotkał u stóp wysokich dębowych schodów Monikę. Zapytał ją obojętnie o książkę, na co podniosła żywo głowę i odpowiedziała mu z uśmiechem, czego nie miała w zwyczaju:

— Tak, czytałam ją i chyba zostawiłam w sali szkolnej. Zaraz tam pójde i zobaczę.

Jak na nią było to długie zdanie, ale Everton ledwie to zauważył. Zastanowiło go co innego.

— Gdzie zostawiłaś książkę? — spytał.

— W sali szkolnej — powtórzyła.

— Nic nie wiem o żadnej sali szkolnej — odrzekł chłodno. Nie znosił niewłaściwych nazw, choćby nadanych pokojowi. — Panna Gribbin zabiera cię zwykle na lekcje do biblioteki albo do jadalni. Jeśli chodzi ci o jeden z tych pokoi, bądź łaskawą nazywać go w sposób właściwy.

Monika potrząsnęła głową.

— Nie, miałam na myśli salę szkolną — ten duży pusty pokój obok biblioteki. On tak się nazywa.

Everton znał ten pokój. Jego okna wychodziły na północ i wydawał się bardziej ponury i ciemniejszy od wszystkich pokoi w domu. Rozmyślał leniwie, czemu Monika spędza tyle czasu w pokoju bez mebli, gdzie można usiąść tylko na gołej podłodze lub na ławie okiennej pozbawionej poduszek. Złożył to na karb jej indywidualizmu.

— Kto ten pokój tak nazywa? — spytał.

— To jego nazwa — odparła z uśmiechem.

Pobiegła na górę i po chwili wróciła z książką, którą podała mu znów z uśmiechem, co go zdziwiło. Było to zaskakujące i miłe widzieć ją biegnącą, a nie chodzącą ciężkim, niezgrabnym krokiem, jakim się na ogół poruszała idąc wykonać jakieś polecenie. I uśmiechnęła się dwa czy trzy razy w ciągu minuty. Uświadomił sobie, że przez chwilę była żywszym, szczęśliwszym stworzeniem niż kiedykolwiek w Hampstead.

— Skąd ci przyszło do głowy nazywać ten pokój salą szkolną? — zapytał biorąc z jej ręki książkę.

— To jest sala szkolna — powtórzyła z uporem, starając się pokryć tę wymijającą odpowiedź naciskiem na słowie „jest”.

Tyle tylko zdołał z niej wydobyć. Gdy wypytywał dalej, uśmiechy znikły, a blada nieładna twarzyczka pozostała bez wyrazu. Wiedział, że nie ma sensu nalegać, ale obudziła się w nim ciekawość. Wypytał pannę Gribbin i służbę i dowiedział się, że nikt nie miał zwyczaju nazywać długiego pustego pokoju salą szkolną.

Widocznie Monika tak go nazwała. Ale dlaczego? Była przecież całkowicie oddalona od szkoły i klas szkolnych. Jakiś załazek fantazji zakiełkował w małym mózdzku. Ciekawość Evertona wzrosła. Przypominał lekarza, który dostrzega u pacjenta jakiś niezwykły symptom.

— Monika wydaje się o wiele żwawsza i weselsza, niż bywała — powiedział do panny Gribbin.

— Tak — zgodziła się z nim sekretarka. — I ja to zauważyłam. Uczy się grać.

— Grać na czym? Na fortepianie?

— Nie. Grać w dziecinne gry. Nie słyszał pan, jak śpiewała i tańczyła?

Everton, potrząsnął głową. Wyglądał na zainteresowanego.

— Nie słyszałem — odrzekł. — Może moja obecność hamuje... jej żywość.

— Słyszę ją nieraz w tym pustym pokoju, który uparcie nazywa salą szkolną. Milknie, kiedy usłyszy moje kroki. Oczywiście nie wtrącam się do niej zupełnie, ale wolałabym, żeby nie mówiła do siebie. Nie lubię, jak ludzie to robią. To jest... niepokojące.

— Nie wiedziałem, że to robi — wyrzekł wolno Everton.

— Tak, prowadzi długie rozmowy. Nie słyszałam, o czym mówi, lecz niekiedy można by sądzić, że się znajduje w kręgu przyjaciół.

— Zawsze w tym pokoju?

— Na ogół tak — odparła panna Gribbin, skinąwszy głową.

Everton patrzył na swoją sekretarkę z zamyślonym uśmiechem.

— Każdy rozwój jest zawsze niezwykle interesujący. Cieszę się, że ten dom odpowiada Monice. Chyba odpowiada nam wszystkim.

Gdy wypowiadał ostatnie słowa, w tonie jego zadźwięczało powątpiewanie, a panna Gribbin zgodziła się z nim z tym samym brakiem przekonania w głosie. W istocie Everton ostatnio powątpiewał, czy przeprowadzka z Hampstead była korzystna dla jego zdrowia. Przez pierwsze tygodnie wskutek zmiany powietrza miał nerwy w lepszym stanie, lecz teraz zdawał sobie sprawę z pogorszenia. Wyobraźnia płatała mu figle wypełniając mózg jakimiś dziwnymi rojeniami. Nieraz, gdy siedział do późna i pisał — lubił pracować w nocy popijając mocną kawę — stawał się ofiarą niesłuchanie męczących nerwowych objawów,

trudnych do zgłębienia i niemożliwych do zwalczenia, które niezmiennie sprawiały, że kładł się do łóżka z poczuciem klęski.

Tej właśnie nocy doświadczył jednej z odmian tego przeżycia.

Było już blisko północy, kiedy ogarnęło go uczucie niepokoju graniczące ze strachem. Pracował w niewielkim pokoju obok salonu, wybranym na gabinet. Z początku nie bardzo uświadamiał sobie ogarniające go uczucie. Wzmagало się ono z wolna, ciężar przygniatał stopniowo.

Najpierw przytłoczyła go panująca w domu cisza. Coraz dotkliwiej zdawał sobie z niej sprawę, aż w końcu stała się nieomal namacalna, jakby wyrosły wokół niego grube więzienne mury.

Skrobanie pióra po papierze początkowo zmniejszyło napięcie. Pisał i kreślił, bo ten dźwięk go uspokajał. Po jakimś czasie jednak i ta pociecha została mu odjęta, wydawało się teraz, że to ciche pracowite skrobanie zwraca na niego uwagę. Tak. Był obserwowany.

Siedział spokojnie z piórem uniesionym nad zapisaną do połowy stroną. Tak, to znajome wrażenie: ktoś go obserwuje. Ale kto? I z którego kąta pokoju?

Wywołał na wargi drżący uśmiech. Przez chwilę pomyślał, że jest śmieszny. W następnej zadał sobie pytanie, jak można walczyć z własnymi nerwami. Doświadczenie nauczyło go, że jedynym lekarstwem — i to chwilowym — jest położenie się do łóżka. Siedział jednak dalej, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o samym sobie, starając się ująć swe niejasne rojenia w jakąś określoną formę.

Wyobraźnia mówiła mu, że jest obserwowany, lecz choć nazwał to wytworem fantazji, był przestraszony. Serce tłukło się gwałtownie w piersi, ostrzegając przed strachem. Siedział nadal bez ruchu, chcąc się dowiedzieć, w jakiej części pokoju jego fantazja umieściła tych urojonych „obserwatorów” — bo uświadamiał sobie spojrzenia więcej niż jednej pary oczu skierowanych na niego.

Początkowo to się nie udało. Sztywność postawy, panowanie nad sobą działały na umysł jak hamulec. Rozluźnił więc napięcie, usiłując dać swemu mózgowi pełną swobodę, taką jakiej mógłby się domagać hipnotyzer lub ktoś przeprowadzający doświadczenia w dziedzinie telepatii.

Prawie zaraz przyszyły mu na myśl drzwi. Oczywiście umysłu zwrócił się w tamtą stronę, jak igła kompasu zwraca się na północ. I w wyobraźni ujrzał drzwi. Były uchylone, a w ich otworze widniało mnóstwo twarzy. Co to za twarze, nie potrafił powiedzieć. Po prostu twarze. Wyobraźnia jego nie sięgała dalej. Lecz zdawał sobie sprawę, że szpiegujące go istoty są płochliwe, że się boją jego tak samo jak on ich, że aby je spłoszyć, wystarczy obrócić głowę i popatrzeć na nie prawdziwymi oczami.

Drzwi znajdowały się obok jego ramienia. Odwrócił się nagle i kątem oka rzucił szybkie spojrzenie.

Jakkolwiek wyobraźnia zwodziła go, nie oszukała, jeśli chodzi o drzwi. Były uchylone, choć mógłby przysiąc, że je zamknął wchodząc do pokoju. Nie było w nich nikogo. Nieprzenikniona ciemność wypełniała przestrzeń pomiędzy podłogą a nadprożem. Nie zobaczył nic obróciwszy głowę, miał jednak niejasne uczucie, że coś zniknęło, przemknęło bezszelestnie i niezwykle szybko niby pstrąg w czystej płytkiej wodzie.

Everton wstał, wyprostował się i podniósł zaciśnięte pięści do zmęczonych oczu. Powiedział sobie, że musi się położyć. Wystarczy, że cierpi te nerwowe ataki, pogłębiać je byłoby szaleństwem.

Lecz gdy wchodził schodami na piętro, czuł znowu, że nie jest sam. Ostrożne, płochliwe, gotowe się stopić z cieniem ścian, jeśli odwrócił głowę, szły za nim, szepcząc cichutko, trzymając się za ręce, obserwując go z trwoźną ciekawością, pełną nabożnego lęku ciekawością dzieci.

III

Evertonowi złożył wizytę pastor. Nazywał się Parslow i był typowym pastorem wiejskim biedniejszego gatunku. Wysoki, krzepki, trochę zaniedbany, strudzony mężczyzna w połowie czterdziestki, wyraźnie skłopotany odwiecznym problemem, jak związać koniec z końcem z nie wystarczającej pensji.

Everton przyjął go dość uprzejmie, lecz z pewnym chłodem, dając tym do zrozumienia, że nie ma nic wspólnego ze swoim gościem. Parslow był wyraźnie rozczarowany: „nowi ludzie” nie uczęszczali do kościoła i prawdopodobnie zbyt nie będą się interesowali sprawami parafii. Dwaj mężczyźni czynili bez przekonania próżne wysiłki, by znaleźć jakiś wspólny grunt. Nastąpiło to dopiero wtedy, gdy pastor żegnając się wspominał o Monice.

— Ma pan zdaje się małą dziewczynkę — powiedział.

— Tak. To moja wychowanka.

— Pewnie czuje się tutaj samotna. Mam córeczkę w tym samym wieku. Obecnie jest w szkole, ale wkrótce przyjedzie do domu na ferie wielkanocne. Byłaby na pewno bardzo zadowolona, gdyby pana mała... wychowanka przyszła od czasu do czasu na plebanię i pobawiła się z nią.

Propozycja ta niezbyt odpowiadała Evertonowi i jego podziękowanie było dość zdawkowe. Ta druga dziewczynka, choć córka pastora, może mieć nawyki współczesnych dzieci i zarazić Monikę arogancją i słownictwem ulicy, czego tak nie cierpiał. Był zdecydowany mieć tak mało do czynienia z plebanią, jak tylko się da.

Tymczasem Monika stawała się dla niego przedmiotem coraz większego zainteresowania. Zmiana, jaka w niej nastąpiła, była tak wyraźna, jakby Monika wróciła właśnie po pewnym czasie spędzonym w szkole. Zdumiewała go i zastanawiała używaniem wyrażeń, których od żadnego z domowników nie mogła się nauczyć. Słowa, tak łatwo przez nią wypowiedziane; to nie był żargon dowcipnej dzisiejszej młodzieży, lecz używany w rodzinie język z czasów jego młodości. Pewnego ranka na przykład zauważyła, że ogrodnik Mead jest tuzem w przycinaniu winorośli.

Tuz! To słowo przeniosło Evertona w dalekie minione lata do dzieciennego pokoju w solidnym, godnym szacunku domu w wytwornej londyńskiej dzielnicy Belgravia, gdzie usłyszał je po raz pierwszy użyte w tym samym znaczeniu. Dziesięcioletnia siostra jego Gertruda, znana w owym czasie z łapania niezwykłych wyrażeń, oznajmiła, że zamierza zostać tuzem we francuskim. Tak, w tamtych czasach człowiek biegły w czymś nazywany był „tuzem” lub „prymusem”, a nie jak dziś „mocnym facetem”. Kto dzisiaj mówi „tuz”? Od lat nie słyszał tego określenia.

— Skąd się nauczyłaś tak mówić? — zapytał takim dziwnym tonem, że Monika popatrzyła na niego z niepokojem.

— Czy to złe słowo? — spytała z kolei żywo. Jak dziecko w nowej szkole, które się boi, że nie zastosowało używanego tam wyrażenia.

— To określenie dawne — odrzekł chłodno purysta — które oznaczało osobę w czymś biegłą. Gdzie je słyszałaś?

Uśmiechnęła się i nie odpowiedziała. Uśmiech jej był tajemniczy, a nawet kokieterjny jak u dzieci. Milczenie stanowiło zawsze jej ucieczkę, lecz nie było to już ponure milczenie. Zmieniała się gwałtownie, w sposób zdumiewający jej opiekuna. Nie udał mu się z nią krzyżowy ogień pytań. Później w ciągu dnia radził się panny Gribbin.

— To dziecko czyta coś, o czym nie mamy pojęcia — powiedział.

— W tej chwili uczyła się Dickensa i Stevensona — odrzekła panna Gribbin.

— Więc skąd bierze te wyrażenia?

— Nie wiem — odpowiedziała rozdrażniona sekretarka — tak samo jak nie wiem, w

jaki sposób nauczyła się bawić w kocią kołyskę.

— Co? W tę zabawę sznurkiem? Czy się bawi w ten sposób?

— Zastałam ją niedawno, gdy wyczyniała bardzo skomplikowane sztuczki. Nie chciała mi powiedzieć, jak się tego nauczyła. Wypytywałam służbę, ale nikt jej nie pokazywał tej zabawy.

Everton zmarszczył brwi.

— A ja nie znam żadnej książki w bibliotece, z której można by się nauczyć sztuczek ze sznurkiem. Czy nie sądzi pani, że ona potajemnie zaprzyjaźniła się z jakimiś wiejskimi dziećmi?

Panna Gribbin potrząsnęła głową!

— Jest na to zbyt wybredna. Poza tym rzadko chodzi na wieś sama.

Na tym na razie skończyła się dyskusja. Everton z ciekawością badacza obserwował dziewczynkę tak uważnie, jak mógł bez wzbudzania jej podejrzeń. Rozwijała się szybko. Wiedział, że musi się rozwinąć, lecz sposób jej zachowania zdumiewał go i intrygował oraz przeczył wyraźnie jego pierwotnej teorii. Nie pielęgnowana roślina nie tylko rosła, ale objawiała skutki pielęgnacji. Wydawało się, że na Monikę działają jakieś wpływy zewnętrzne, nie pochodzące ani od niego, ani od żadnego z domowników.

Zima trwała i ponure deszczowe dni zatrzymywały pannę Gribbin, Monikę i Evertona w domu. Nie brakowało mu okazji do obserwowania dziewczynki i pewnego chmurnego popołudnia, przechodząc obok pokoju, który ona nazywała salą szkolną, zatrzymał się i słuchał, póki nie zdał sobie nagle sprawy, że to, co robi, przypomina w niemiły sposób podsłuchiwanie. Psycholog i dżentelmen stoczyli krótką walkę, w której dżentelmen wziął chwilowo górę. Everton podszedł do drzwi ciężkim krokiem i gwałtownie je otworzył.

Uczucie, jakiego doznał, gdy to uczynił, było trochę nieokreślone i niepokojące, w każdym razie niezupełnie dla niego nowe. Wiele razy uprzednio, głównie po zmierzchu, gdy wchodził do pustego pokoju, miał wrażenie, że ktoś tam był, zanim on przekroczył próg. Jego wejście niepokoiło nie jedną czy dwie istoty, lecz całą ich gromadę. Czuł raczej, niż słyszał, jak się rozpraszały uciekając szybko i cicho, niczym cienie, w jakieś niewiarygodne kryjówki, gdzie wstrzymując oddech obserwowały go i czekały, aż wyjdzie. Z takim samym napięciem wszedł teraz i rozejrzał się, jakby się spodziewał, że zobaczy więcej niż jedno dziecko pośrodku pokoju lub jakiś ślad mówiący o ukrywających się innych dzieciach. Gdyby pokój byłumeblowany, szukałby bezwiednie buczków wystających spod stołów czy kanap lub jakiejś garderoby pozostawionej niechcący na wierzchu.

Długi pokój był jednak zupełnie pusty, stała tam tylko Monika. Przed sobą miał wysokie wąskie okna, zraszane drobnym deszczem. Monika, zwrócona tyłem do sączącego się przez nie bladego światła, spojrzała na niego, gdy wszedł. Zdążył dojrzeć znikający z jej warg uśmiech. Lekki gwałtowny ruch ramion powiedział mu, że ukryła coś w rękach zaciśniętych na plecach.

— Hej — powiedział ze sztuczną wesołością. — Co tu robisz?

— Nic — odrzekła, ale nie mrukiwie, jak odpowiedziałyby dawniej.

— Słuchaj, to niemożliwe. Mówiłaś do siebie, Moniko. Nie powinnaś tego robić. To bezsensowny i bardzo niemądry zwyczaj. Postradasz zmysły, jeśli będziesz tak dalej robiła.

Spuściła głowę.

— Nie mówiłam do siebie — odrzekła cichym, na pół żartobliwym, lecz spokojnym głosem

— Nonsens, słyszałem, jak mówiłaś.

— Nie mówiłam do siebie.

— Musiałaś mówić, nie ma tu przecież nikogo prócz ciebie.

— Nie ma... teraz.

— Co to znaczy teraz?

— One uciekły. Pewnie przestraszyły się pana.

— Co to znaczy? — powtórzył podchodząc do niej. — I o kim mówisz „one”?

W następnej chwili był już na siebie zły. Przemawiał tak poważnie i groźnie, a dziewczynka prawie się z niego śmiała. Jakby triumfowała, że podstępnie skłoniła go do udziału w jakiejś wymyślonej zabawie w udawanie.

— Pan by nie zrozumiał — powiedziała.

— Rozumiem, że tracisz czas i jesteś bardzo niemądrą dziewczynką. Co chowasz za plecami?

Wyciągnęła prawą rękę, rozwarła palce i pokazała napastrzek. Popatrzył na ten przedmiot, a potem na nią.

— Dlaczego to przede mną schowałaś? — spytał. — Nie potrzebowałaś tego robić.

Zanim odpowiedziała, uśmiechnęła się blado i tajemniczo — tym swoim nowym uśmiechem.

— Bawiłyśmy się napastrkiem. Nie chciałam, żeby pan o tym wiedział.

— Chcesz powiedzieć, że ty się bawiłaś. A dlaczego nie chciałaś, żebym o tym wiedział?

— Z powodu nich. Bo pomyślałam, że pan nie rozumie. I nie rozumie pan.

Widział, że udawać gniew lub zniecierpliwienie nie miałyby sensu. Przemówił łagodnie, starając się okazać życzliwość.

— Kto to są „one”?

— Po prostu one. Inne dziewczynki.

— Rozumiem. Przychodzą bawić się z tobą, tak? I uciekają, kiedy się pojawiaam, bo mnie nie lubią?

Pokręciła głową.

— Nie o to chodzi, że pana nie lubią. One chyba wszystkich lubią. Ale są nieśmiałe. I wobec mnie były przez długi czas nieśmiałe. Wiedziałam, że są tutaj, ale upłynęły tygodnie, zanim przyszły bawić się ze mną. Upłynęły tygodnie, zanim je w ogóle zobaczyłam.

— A jak one wyglądają?

— Tak jak dziewczynki. I są strasznie, strasznie mile. Niektóre trochę starsze ode mnie, niektóre młodsze. I nie są ubrane jak dziewczynki, które się widzi dzisiaj. Ubrane są na białą, mają długie spódnice i szarfy.

Everton kiwnął z powagą głową. Wzięła to z ilustracji w książkach z biblioteki, pomyślał.

— Pewnie nie wiesz, jak mają na imię? — spytał mając nadzieję, że w głosie jego, któremu chciał nadać obojętny, lecz szczerzy ton, nie brzmi kpina.

— O, wiem. Jest wśród nich Mary Hewitt, ją chyba lubię najbardziej, i Elsie Power, i...

— Ile ich jest razem?

— Siedem. Ładna liczba. A w tej klasie szkolnej bawimy się w różne gry. Ja to bardzo lubię. Żałuję, że przedtem nie umiałam żadnych gier.

— I bawiłyście się napastrkiem?

— Tak. Nazywają tę zabawę polowaniem na napastrzek. Jedna z nas go chowa, a reszta próbuje znaleźć. Ta, która znajdzie, chowa go znowu.

— To znaczy, że chowasz go sama, a potem znajdujesz.

Uśmiech zniknął z jej twarzy, a wyraz oczu ostrzegł go, że Monika ma dość zwierzeń.

— Ach, nic pan jednak nie rozumie! — wykrzyknęła. — Przypuszczałam, że tak będzie.

Everton uważał jednak, że zrozumiał. Uśmiechnął się z ulgą.

— Nic nie szkodzi — rzekł. — Ale na twoim miejscu nie bawiłbym się w ten sposób za wiele.

Z tymi słowami opuścił Monikę. Ciekawość jednak kusila go, i nie na próżno, by nie

odchodzić i posłuchać przez chwilę za drzwiami, które zamknął wychodząc. Usłyszał szept Moniki:

— Mary! Elsie! Chodźcie. Wszystko dobrze. On już poszedł.

W odpowiedzi usłyszał szept, niepodobny zupełnie do szeptu Moniki, i drgnął. Potem roześmiał się z własnego zmieszania. To naturalne, że Monika, grając kilka ról, usiłowała zmienić głos odpowiednio do każdej postaci. Zszedł na dół pogrążony w myślach, które doprowadziły go do interesujących konkluzji. Zakomunikował je później panie Gribbin.

— Odkryłem powód zmiany, jaka zaszła w Monice. Wymyśliła sobie urojone koleżanki, inne dziewczynki.

Panna Gribbin wzdrygnęła się lekko i podniosła wzrok znad gazety, którą czytała.

— Naprawdę? — wykrzyknęła. — Czy to nie jest niezdrowy objaw?

— Nie sędzę. Urojone koleżanki to zupełnie normalny objaw w dzieciństwie, zwłaszcza u dziewcząt. Pamiętam, że moja siostra też miała taką koleżankę i bardzo się złościła, kiedy nie brałiśmy tego na serio. W przypadku Moniki to też zupełnie normalne, normalne, ale i interesujące. Musiała odziedziczyć bujną fantazję po ojcu. Ma siedem urojonych koleżanek i wszystkie mają imiona, niech sobie pani wystawi. Jest sama, nie ma koleżanki w swoim wieku, więc wymyśliła ich kilka. Wszystkie są miłe i przyzwoicie ubrane według mody prezentowanej w książkach z epoki wiktoriańskiej, które znalazła w bibliotece.

— To może być szkodliwe — powiedziała panna Gribbin. — I nie mogę zrozumieć, skąd się nauczyła pewnych wyrażen i pewnego stylu zabaw oraz sposobu mówienia...

— Wszystko z książek. I udaje sama przed sobą, że to „one” ją nauczyły. Najciekawsze jednak jest to, że po raz pierwszy doświadczyłem, czym jest telepatia, do której nastawiony byłem dotąd raczej sceptycznie. Odkąd Monika wymyśliła tę nową zabawę i zanim dowiedziałem się o tym, miałem wiele razy wyraźne wrażenie, że w domu znajduje się dużo małych dziewczynek.

Panna Gribbin drgnęła i wpatrzyła się w niego. Rozchyliła wargi, jakby chciała coś powiedzieć, ale zmieniła chyba zamiar, zanim złożyła pierwsze słowo.

— Monika — mówił dalej z uśmiechem Everton — wyimaginowała sobie te „koleżanki” i przez telepatię uświadomiła i mnie ich obecność. Ostatnio niepokoiłem się bardzo stanem moich nerwów.

Panna Gribbin zachnęła się jakby w gniewie, ale czoło jej pozostało gładkie, a kąciki ust opuszczone.

— Żałuję, że mi pan to wszystko powiedział — odezwała się. Wargi jej drżały. — Wie pan — dodała niepewnie — ja nie wierzę w telepatię.

IV

Wielkanoc, wczesna w tym roku, sprowadziła na plebanię małą Gladys Parslow, która przyjechała na ferie do domu. Wydarzenie to zostało wkrótce zasygnalizowane listem pastora do Evertona, w którym zapraszał Monikę na herbatę i na zabawę z jego córeczką w najbliższą środę.

Zaproszenie to było dla Evertona rzeczą kłopotliwą i przykrą. Oto czynnik niepokojący, obcy wpływ, który może pokrzyżować jego wychowawczy eksperyment z Moniką. Mógł oczywiście nie przyjąć zaproszenia, odpowiadając na nie chłodno i krótko, aby być pewnym, że nie zostanie powtórzone. Nie był jednak człowiekiem dość silnym, by zdobyć się na niezależność i oprzeć krytyce. Nie chciał też okazać grubiaństwa, a jeszcze mniej wydać się śmieszny. Idąc po linii najmniejszego oporu zaczął rozumować, że jedno dziecko, nie starsze od Moniki i w atmosferze własnego domu, nie może wywrzeć wielkiego na nią wpływu. Skończyło się na tym, że pozwolił jej pójść na plebanię.

Ona sama wydawała się zadowolona z perspektywy tej wizyty, lecz swoje zadowolenie wyrażała w dyskretny, powściągliwy, dorosły sposób. Panna Gribbin odprowadziła ją do progu plebanii w chmurne parne popołudnie punktualnie o pół do czwartej i oddała w ręce służącej, która otworzyła drzwi.

Gdy meldowała Evertonowi o swoim powrocie, zaświtała jej w mózgu myśl, którą uznała za zabawną, i rozmawiając z nim roześmiała się, co było u niej rzadkością.

— Zostawiłam ją pod drzwiami — opowiadała. — Nie widziałam więc przywitania z tamtą dziewczynką, czego żałuję. To musiało być zabawne.

Zirytowała Evertona, bo zabrzmiało to tak, jakby Monika była jakimś stworzeniem w klatce, któremu po raz pierwszy w jego życiu pokazano inne stworzenie tego samego gatunku. Zzymnął się na tę analogię. Poczul coś w rodzaju wyrzutów sumienia i chyba po raz pierwszy zadał sobie pytanie, czy postępuje z Moniką tak jak trzeba.

Ani razu nie przyszło mu na myśl, czy ona jest szczęśliwa. Tak mało rozumiał dzieci, iż sądził, że mogą one cierpieć jedynie z powodu fizycznego okrucieństwa. Gdyby kiedykolwiek przedtem zadał sobie pytanie, czy Monika jest szczęśliwa, prawdopodobnie odpowiedziałby na nie krótko, że nie ma podstaw, by było inaczej. Dał jej przyzwoity dom, a nawet zapewnił zbytek oraz możliwość umysłowego rozwoju. Do towarzystwa miała jego, pannę Gribbin, no i służbę do pewnego stopnia...

Tak, ale ten obrazek wywołany słowami panny Gribbin z towarzyszeniem jej nedorzecznego śmiechu! Małe stworzenie spotykające po raz pierwszy drugie takie samo i patrzące na nie w oszołomieniu, nie wiedzące, co zrobić, co powiedzieć. Było w tym coś żalosego — niemile żalosego dla Evertona. Te urojone koleżanki... Czy to naprawdę oznacza, że Monika miała potrzeby, o których on nie wiedział i nigdy się nie starał dowiedzieć?

Nie był człowiekiem złym i bolało go własne podejrzenie, że mógł popełnić coś złego. Dzieci współczesne, których zachowania i manier nie znosił, może tylko były posłuszne jakiemuś nieubłaganemu prawu ewolucji. Może chroniąc Monikę przed ich towarzystwem postępował wbrew naturze? Jeśli ma być ona normalną dziewczyną, to czy nie musi bez przeszkód płynąć z tą samą falą, która unosi jej pokolenie?

Dyskutował sam z sobą spacerując po niewielkim gabinecie. Będzie jeszcze uważniej obserwował Monikę, będzie ją wypytywał, jeśli się nadarzy sposobność. A jeśli stwierdzi, że jest nieszczęśliwa i naprawdę potrzebuje towarzystwa innych dzieci, zobaczy, co można z tym zrobić.

Gdy jednak Monika wróciła z wizyty na plebanii, widać było, że nie sprawiła jej ona przyjemności. Zgaszona, mało opowiadała o tym wydarzeniu. Najwyraźniej dziewczynki się nie zaprzyjaźniły. Zapytana, Monika wyznała, że Gladys nie bardzo jej się podoba. Powiedziała to po namyśle, z krótką pauzą przed słowami „nie bardzo”.

— Dlaczego ci się nie podoba? — spytał szorstko Everton.

— Nie wiem. Jest taka śmieszna. Niepodobna do innych dziewczynek.

— A co ty wiesz o innych dziewczynkach? — spytał trochę ubawiony.

— Nie jest ani trochę taka jak...

Monika urwała i spuściła oczy.

— Chcesz powiedzieć, że nic jest taka jak twoje „koleżanki”?

Rzuciła mu krótkie, bystre spojrzenie i znów spuściła oczy.

— Nie, ani trochę.

Oczywiście, że nie mogła być taka. Everton nie drażnił dziewczynki dalszymi pytaniami i pozwolił jej odejść. Pobiegła od razu do dużego, pustego pokoju, aby szukać tam tego niesamowitego towarzystwa, które jej wystarczało.

Na razie Everton był zadowolony. Monika czuła się zupełnie szczęśliwa, nie potrzebna jej była Gladys i pewnie żadne inne małe przyjaciółki. Jego eksperyment się udawał. Wymyśliła sobie własne koleżanki i z ochotą pobiegła się bawić z tymi tworam wyobraźni.

Wszystko jest chyba w porządku. Rozważał, że właśnie tego pragnął, póki nagle z niepokojem nie uświadomił sobie, że to nie jest normalne i może być szkodliwe.

V

Chociaż Monika wyraźnie nie pragnęła oglądać więcej Gladys Parslow, zwykła uprzejmość nakazywała zaprosić córeczkę pastora. Najprawdopodobniej Gladys tak samo nie miała ochoty przyjść, jak Monika przyjmując ją u siebie. Surowa dyscyplina zmusiła jednak małą pastórównę do tego, że pewnego popołudnia zjawiała się o uzgodnionej przedtem listownie godzinie, a Monika przyjęła ją godnie, acz chłodno, co złagodziła prawie dorosłą uprzejmością.

Zaprowadziła swego gościa do dużego pustego pokoju i tego popołudnia ani Everton, ani panna Gribbin nie widzieli więcej Gladys Parslow. Kiedy zabrzmiał gong na herbatę, Monika zjawiała się sama i oznajmiła cicho, że Gladys poszła już do domu.

— Czy się z nią pokłóciłaś? — spytała szybko panna Gribbin.

— N...nie.

— Więc dlaczego odeszła w ten sposób?

— Jest po prostu głupia — odpowiedziała Monika.

— A może to ty jesteś głupia. Dlaczego poszła?

— Bo się bała.

— Bała się?!

— Nie podobały się jej moje koleżanki.

Panna Gribbin wymieniła spojrzenie z Evertonem.

— Nie podobała się jej niemądra dziewczynka, mówiąca do siebie i wyobrażająca sobie niestworzone rzeczy. Nic dziwnego, że się przestraszyła.

— Z początku nie wierzyła, że one są prawdziwe. i śmiała się ze mnie — powiedziała Monika siadając.

— Naturalnie.

— A kiedy zobaczyła je...

Panna Gribbin i Everton przerwali Monice równocześnie, powtarzając zgodnie i z równym zdziwieniem jej dwa ostatnie słowa.

— A kiedy je zobaczyła — ciągnęła Monika niewzruszona — to jej się nie podobały. Myślę, że się przestraszyła. Tak czy owak powiedziała, że nie zostanie, i poszła do domu. Uważam, że jest głupia. Uśmiealiśmy się z niej wszystkie, kiedy wyszła.

Mówiła normalnym rzeczowym tonem, a jeśli w duchu była zadowolona z poruszenia, jakie wywołały najwyraźniej w panie Gribbin jej ostatnie słowa, nie dała tego po sobie poznać. Panna Gribbin się rozgniewała.

— Jesteś bardzo niegrzeczna opowiadając takie kłamstwa. Wiesz doskonale, że Gladys nie mogła widzieć twoich koleżanek. Nastraszyłaś ją po prostu udając, że rozmawiasz z kimś, kogo tam nie było, i słusznie zostaniesz ukarana, jeśli nigdy już nie przyjdzie bawić się z tobą.

— Nie przyjdzie — odrzekła Monika. — A widziała je naprawdę, proszę pani.

— Skąd to wiesz? — spytał Everton.

— Poznałam po jej minie. I też mówiła do nich, kiedy biegła do drzwi. One były z początku bardzo onieśmielone z powodu wizyty Gladys. Nie chciały przyjść przez długi czas, ale je ubłagałam i w końcu przyszły.

Everton spojrzeniem powstrzymał następny wybuch gniewu panny Gribbin. Chciał się dowiedzieć więcej i w tym celu okazał cierpliwość i łagodność.

— Skąd one przyszły? — spytał. — Spoza drzwi?

— Nie. Stamtąd, skąd zawsze przychodzą.

— To znaczy skąd?

— Nie wiem. One chyba same nie wiedzą. Zawsze z tej strony, w którą nie patrzę. Czy to nie dziwne?

— Bardzo dziwne! I znikają tak samo?

Monika zmarszczyła brwi z powagą i zastanowiła się.

— Znikają tak szybko, że trudno powiedzieć gdzie. Kiedy pan wchodzi do pokoju albo panna Gribbin...

— Uciekają na nasz widok oczywiście. Ale dlaczego?

— Bo są okropnie, okropnie nieśmiałe. Ale już nie takie nieśmiałe, jak były dawniej. Może niedługo się przyzwyczają i nie będą na państwa zważały.

— To pocieszająca myśl! — oświadczył Everton z sarkastycznym śmiechem.

Kiedy Monika wypila herbatę i wyszła, zwrócił się do swej sekretarki:

— Nie ma pani racji ganiąc dziecko. Te wytwory jej wyobraźni są dla niej absolutnie prawdziwe. Siła jej sugestii podziałała w jakimś stopniu na mnie. Mała Parslow, jako młodsza i bardziej wrażliwa, widziała je. To klasyczny przypadek telepatii i autosugestii. Nigdy nie studiowałem tych spraw, lecz muszę stwierdzić, że są to przykłady do naukowych dociekań.

Panna Gribbin zacisnęła wargi i spostrzegł, że lekko drży.

— Pan Parslow nie będzie zadowolony — powiedziała tylko.

— Na to doprawdy nic nie poradzę. Może wszystko obróci się na dobre. Jeśli Monika nie lubi tej dziewczynki, to lepiej, żeby się więcej nie spotykały.

Mimo wszystko Everton był trochę zakłopotany, gdy następnego ranka spotkał na spacerze pastora. Jeżeli czcigodny pleban wie, że jego córka tak bezceremonialnie opuściła ich dom, to albo pragnie przeprosić, albo będzie żądał przeprosin, zależnie od tego, jak ocenił sytuację. Everton nie chciał wdawać się w takie czy inne przeprosiny, nie miał ochoty dyskutować o dziecinnych kaprysach, w sumie pragnął mieć jak najmniej do czynienia z panem Parslowem. Minąłby go z krótkim pozdrowieniem, lecz jak się obawiał, pastor go zatrzymał.

— Zamierzałem przyjść do pana — powiedział.

Everton przystanął i westchnął cicho, myśląc, że to przypadkowe spotkanie poza domem może ostatecznie czegoś mu oszczędzić.

— Słucham — odrzekł.

— Pójdę chwilę z panem, jeśli można. — Pastor popatrzył na niego z niepokojem. — Jest pewna rzecz, o której trzeba koniecznie panu powiedzieć. Nie wiem, czy pan się domyśla, czy może już wie. Jeśli nie, nie wiem, jak pan to przyjmie. Doprawdy nie wiem.

Everton popatrzył na niego ze zdumieniem. Którąkolwiek z dziewczynek pastor winił o przedwczesne wyjście Gladys, to chyba nie powód do tak złowieszczej miny i dziwnego zachowania.

— Doprawdy? — spytał. — Czy to coś poważnego?

— Sądzę, że tak, proszę pana. Wie pan oczywiście, że moja mała opuściła wczoraj po południu dom pana w sposób niezbyt grzeczny.

— Tak. Monika powiedziała nam, że wyszła. Jeśli się posprzeczały, to najlepsze, co mogła zrobić, choć słowa te brzmią może niegościnnie w moich ustach. Proszę wybaczyć, lecz mam nadzieję, że nie próbuje pan wplątywać mnie w dziecinną sprzeczkę.

Pastor z kolei popatrzył na niego.

— Nie — odpowiedział — i nie wiem nic o sprzeczce. Chciałem prosić pana o wybaczenie Gladys. Jest usprawiedliwienie dla jej braku grzeczności. Okropnie się, biedactwo, przestraszyła.

— Teraz ja z kolei chcę wyrazić ubolewanie. Znam wersję Moniki na temat tego, co zaszło. Monika wiele czasu pozostawała sama, bawiąc się wedle własnych pomysłów. Nie mając towarzyszek zabaw, wymyśliła sobie jakieś.

— Aha! — rzekł tylko pastor wciągając głęboki oddech.

— Niestety — ciągnął Everton — ma ona niepokojący dar narzucania swoich fantazji

innym ludziom. Często mi się wydawało, że czuję w domu obecność jakichś dzieci i z pewnością to samo odczuwała panna Gribbin. Obawiam się, że gdy córeczka pana przyszła wczoraj bawić się z Moniką, ta przestraszyła ją, przedstawiając niewidzialne „koleżanki” i mówiąc do tych urojonych i niewidocznych dziewczynek.

Pastor położył rękę na ramieniu Evertona.

— W tym jest coś więcej. Gladys nie jest dzieckiem obdarzonym bujną fantazją. To raczej osobka praktyczna. Nigdy jednak nie kłamie. Co by pan powiedział, gdybym oznajmił panu, iż ona twierdzi stanowczo, że w i d z i a ł a tamte dzieci?

Zimny dreszcz przeszył Evertona. Niemile podejrzenie, niezupełnie jeszcze jasne, zaczęło kiełkować w zakamarkach jego mózgu. Spróbował wyzwolić się od niego, zmusił się do uśmiechu i powiedział lekko:

— Nie byłbym zupełnie zdziwiony. Nikt nie zna granic telepatii i autosugestii. Jeśli mogę czuć obecność dzieci, które Monika stworzyła w swojej wyobraźni, dlaczego córka pana, prawdopodobnie bardziej wrażliwa i podatna na cudze wpływy, nie miałaby ich widzieć?

Pastor potrząsnął głową.

— Naprawdę pan tak myśli? — spytał. — Nie wydaje się to panu trochę naciągnięte?

— Wszystko, czego nie rozumiemy, musi się wydawać naciągnięte. Gdyby ktoś trzydzieści lat temu odważył się mówić o radiu...

— Czy pan wie, że dom pana był niegdyś szkołą żeńską?

Everton poczuł znów niepokój.

— Nie wiedziałem o tym — odrzekł obojętnym tonem.

— Moja ciotka, której nie znałem, uczyła się tam. I tam umarła. Umarło ich siedem, gdy przed laty wybuchła epidemia dyfterytu. Zrujnowało to szkołę, którą wkrótce potem zamknięto. Wiedział pan o tym? Moja ciotka nazywała się Mary Hewitt...

— O, Boże! — krzyknął głośno Everton. — O, Boże!

— Zaczyna pan rozumieć? — spytał Pastor.

Everton oszołomiony przesunął ręką po czole.

— To jedno z nazwisk, które wymieniła Monika — wyjąkał. — Skąd mogła je znać?

— Skąd? Serdeczną przyjaciółką Mary Hewitt była Elsie Power. Zmarły w ciągu paru godzin, jedna po drugiej.

— Monika wymieniła i to drugie nazwisko... i było ich siedem. Skąd mogła to wiedzieć? Nawet mieszkający tu ludzie nie mogą pamiętać nazwisk po tylu latach.

— Gladys poznała je. Ale tylko częściowo przestraszyła się z tego powodu. Myślę, że była raczej pełna nabożnego lęku niż strachu, bo wiedziała instynktownie, że dziewczynki, które przychodziły się bawić z małą Moniką, choć nie pochodzą z tego świata, to dobre, święte dzieci.

— Co mi pan opowiada? — wybuchnął Everton.

— Niech pan się nie boi. Nie boi się pan, prawda? Jeśli ci, których nazywamy zmarłymi, pozostają blisko nas, cóż bardziej naturalnego, że te dzieci przychodziły się bawić z samotną dziewczynką, nie mającą żywych koleżanek? Może się to wydawać niepojęte, ale jak to inaczej wyjaśnić? Jak Monika mogła wymyślić te dwa nazwiska? Skąd mogłyby wiedzieć, że siedem dziewczynek zmarło dawno temu w pana domu? Tylko bardzo starzy miejscowi ludzie pamiętają to, ale nawet oni nie potrafiliby powiedzieć, ile dzieci zmarło, ani wymienić choć jednego nazwiska tych biednych ofiar. Nie zauważył pan jakiejś zmiany w swojej wychowance, odkąd zaczęła wyobrażać sobie, jak pan sądził, te dziewczynki?

Everton z chmurną miną kiwnął głową.

— Owszem — odpowiedział prawie nieświadomie. — Nauczyła się różnych zwrotów i dzieciennych gestów, których nigdy przedtem nie używała, i zabaw... Nie potrafię zrozumieć... Co ja, na litość boską, mam robić?

Pastor trzymał wciąż rękę na ramieniu Evertona.

— Na pana miejscu posłałbym ją do szkoły. Bo te kontakty mogłyby być dla niej niedobre.

— Niedobre? A mówił pan, że te dzieci...

— Dzieci? Powinienem być powiedzieć aniołki. One jej nigdy nie skrzywdzą. Ale Monika ma zdolność widzenia i rozmawiania z... z istotami niewidzialnymi i niesłyszalnymi dla innych. Takiej zdolności nie trzeba rozwijać. Z czasem mogłaby widzieć inne duchy i rozmawiać z nimi, duchy, które nie są dziećmi bożymi. Zdolność tę może utracić przebywając z dziewczynkami w swoim wieku. Jestem pewny, że te duchy przychodzą do niej, bo jest jej to potrzebne.

— Muszę pomyśleć nad tym — powiedział Everton.

Poszedł dalej, oszołomiony.

W ciągu paru chwil wszystko się zmieniło, rozjaśniło, jakby był ślepy od urodzenia, a teraz ujrzał pierwsze błyski światła. Nie miał już przed sobą ślepego, bezkształtnego muru, lecz kurtynę, za którą ukazywało się życie. Kroki jego wybijały na ziemi słowa: „Nie ma śmierci. Nie ma śmierci”.

VI

Tego wieczoru po obiedzie posłał po Monikę i rozmawiał z nią w niecodzienny sposób. Był wobec niej dziwnie onieśmielony. Niezręcznie położył rękę na szczupłym ramieniu dziewczynki.

— Czy wiesz, co zamierzam zrobić z tobą, młoda damo? — spytał. — Wyprawię cię do szkoły.

— O... — Popatrzyła na niego z nikłym uśmiechem. — Naprawdę?

— Chcesz pojechać do szkoły?

Chwilę się zastanawiała ze zmarszczonym czołem, wpatrzona w czubki swoich palców.

— Nie wiem. Nie chcę się rozstawać z nimi.

— Z kim?

— Wie pan przecież — odrzekła i nieśmiało odwróciła głowę.

— Nie chcesz się rozstawać z twoimi koleżankami, Moniką?

— Tak.

— Nie wolałabyś mieć innych?

— Nie wiem. Widzi pan, kocham te. Ale one powiedziały... powiedziały, że powinnam pójść do szkoły, jeśli mnie pan tam pošle. Mogłyby się gniewać, gdybym poprosiła pana, że chcę zostać w domu. One chcą, żebym się bawiła z innymi dziewczynkami, które nie są... takie jak one. Bo one są inne niż dzieci, jakie każdy może widzieć. A Mary powiedziała mi, żebym... żebym nie ufała nikomu innemu, kto jest inny, taki jak one.

Everton westchnął.

— Porozmawiamy jutro o szkole dla ciebie, Moniko — powiedział. — Biegnij teraz do łóżka. Dobranoc, moja droga.

Zawahał się, a potem dotknął wargami jej czoła. Pobiegła, tak jak i on onieśmielona, odrzucając do tyłu długie włosy, ale od drzwi rzuciła mu przedziwne promienne spojrzenie, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział.

Późnym wieczorem wszedł do dużego pustego pokoju, który Monika nazywała salą szkolną. Kwadrat księżycowej poświaty padającej z okna leżał na podłodze, na pierwszy rzut oka pustej. Lecz głęboki cień krył małe nieśmiałe duszki, z których obecności jakimś niepojętym, nie nazwanym zmysłem zdawał sobie wyraźnie sprawę.

— Dzieci — szepnął. — Dzieci...

Zamknął oczy i wyciągnął ręce. Ciągle nieśmiałe, trzymały się z daleka, lecz jemu się

wydawało, że podeszły trochę bliżej.

— Nie bójcie się — szeptał — jestem tylko samotnym człowiekiem. Bądźcie blisko mnie, gdy Monika wyjedzie.

Umilkł i czekał. Gdy się odwrócił, poczuł na ramieniu pieszczotliwe dotknięcie małych rączek. Rozejrzał się szybko wokoło, ale nie nadszedł jeszcze dla niego czas, by mógł je widzieć. Zobaczył tylko okratowane okna, cienie na ścianach i księżycową plamę na podłodze.

Przełożyła Jadwiga Olędzka

E. NESBIT

RYCERZE Z MARMURU

Mimo że każde słowo tego opowiadania jest równie prawdziwe jak rozpacz, bynajmniej się nie spodziewam, aby ludzie w to uwierzyli. W dzisiejszych czasach żąda się „racjonalnego wytłumaczenia”, zanim się w coś uwierzy. Niech mi więc wolno będzie od razu zaproponować „racjonalne wytłumaczenie”, które zyskało tyle uznania wśród osób znających opowieść o tragedii mojego życia. Uważano, że oboje zostaliśmy „zbałamuceni” — Laura i ja, owego dnia, 31 października, i że takie przypuszczenie nadaje całej sprawie wiarygodny charakter. Kiedy czytelnik też usłyszy moją opowieść, sam będzie mógł osądzić, w jakiej mierze jest to „wytłumaczenie” i w jakiej jest ono „racjonalne”. Trzy osoby brały udział w tych wypadkach: Laura, ja oraz jeszcze jeden człowiek. Człowiek ten żyje nadal i może dać świadectwo prawdzie w sprawie najmniej wiarygodnej części mojej opowieści.

Nigdy w życiu nie wiedziałem, co to znaczy mieć tyle pieniędzy, aby móc zaspokoić najbardziej zwyczajne potrzeby, jak kupno dobrych farb, książek oraz opłacenie dorożki. Kiedyś się pobrali, wiedzieliśmy doskonale, że będziemy mogli wyżyć, jeśli „jak najdokładniej będziemy przestrzegali punktualności i pilności interesów”.

W owych czasach ja malowałem, Laura zaś pisała, i oboje wierzyliśmy głęboko, że potrafimy co najmniej zarobić na życie. Mieszkanie w mieście w ogóle nie wchodziło w rachubę, wobec czego zaczęliśmy się rozglądać za jakimś domkiem na wsi, który by był zdrowy, a równocześnie malowniczo położony. Jeśli idzie o domek, obie te cechy występują tak rzadko, że nasze poszukiwania przez pewien czas nie przynosiły żadnych rezultatów. Ale kiedyś w czasie naszego miesiąca miodowego stracili kontakt zarówno z przyjaciółmi, jak i pośrednikami handlu nieruchomościami, przejaśniło się nam w głowach i doceniliśmy miły domek, kiedy w końcu natrafiliśmy na taki.

Domek znajdował się w Brenzett — malej wioseczce położonej na wzgórzu nad południowymi bagniskami. Pojechaliśmy tam z wioski nad brzegiem morza, gdzie mieszkaliśmy, żeby obejrzeć kościół, i właśnie o dwa zagony pola od kościoła znaleźliśmy ten domek. Stał zupełnie samotnie, około dwóch mil od wsi. Był to długi i niski budynek z pokojami w najbardziej nieoczekiwanych miejscach. Część była zbudowana z kamienia porośniętego teraz bluszczem i mchami; zaledwie dwa stare pokoje — wszystko, co pozostało z ogromnego domu, który tu ongiś stał, z dokoła tej części z kamienia wyrastał nowy dom. Gdyby go ogołocić z róż i jaśminów, byłby wręcz szkaradny. Ale w takim stanie był uroczy i po krótkich oględzinach nabyliśmy go. Żądano zań śmiesznie tanio. Dom otaczał miły staroświecki ogród ze ścieżkami porośniętymi trawą, z nieskończoną ilością malw i słoneczników oraz ogromnych lilii. Z okna widać było bagniska, a za nimi niebieską, cieniutką kreseczkę morza.

Znaleźliśmy wysoką starą wieśniaczkę, która miała prowadzić nam dom. Twarz i figurę

miała dobrą, natomiast gotowała nader prymitywnie, ale знаła się na ogrodnictwie i wymieniła nam wszystkie stare nazwy okolicznych zagajników i pól, opowiedziała też o przemytnikach i zbójcach i, co było jeszcze lepsze, o „rzeczach, które chodzą” i „zjawach”, które można spotkać w samotnych dolinach górskich w czasie gwiazdzistych nocy. Niebawem prowadzenie całego demu pozostawiliśmy pani Dorman, a jej legendy umieszczaliśmy jako niewielkie opowieści w różnych czasopismach, co przynosiło brzęczącą mamonę.

Mieliśmy już za sobą trzy miesiące szczęścia małżeńskiego i nie pokłóciliśmy się ani razu. Pewnego wieczoru, w październiku, zszedłem do wsi, żeby wypalić fajkę z doktorem — naszym jedynym sąsiadem — miłym młodym Irlandczykiem. Laura została w domu, chcąc skończyć jakiś skecz satyryczny. Kiedy odchodziłem, zaśmiewała się z własnych dowcipów, a po powrocie znalazłem ją jak zwinięty kłębek bladego muślinu, zapłakaną, na małej ławeczce w wykuszu okiennym.

— Na litość boską, kochanie, co się stało? — zawołałem, biorąc ją w ramiona. — O co chodzi? No powiedz!

— To pani Dorman — odparła z płaczem.

— Co ci zrobiła? — zapytałem z ogromną ulgą.

— Mówi, że musi odejść przed końcem miesiąca. i twierdzi, że jej siostrzenica jest chora. Poszła do niej, chcąc ją teraz zobaczyć, ale nie wierzę, żeby to był prawdziwy powód, bo jej siostrzenica jest chora bez przerwy. Myślę, że ktoś ją musiał nastawić przeciwko nam. Zachowuje się tak dziwnie...

— Nie przejmuj się, koteczku — powiedziałem. — Rób co chcesz, tylko nie płacz, bo ja też zacznę płakać, a wtedy to już nigdy nie odzyskasz szacunku dla swojego męża.

— Ale widzisz — mówiła dalej — to jest naprawdę poważna sprawa, bo ci wieśniacy są tacy lękliwi, że jeżeli jeden nie chce czegoś zrobić, możesz być zupełnie spokojny, że nikt inny też tego nie zechce. I będę musiała gotować obiady i zmywać te obrzydliwe tłuste talerze, a ty będziesz musiał nosić wiadra z wodą i czyścić buty i noże i nigdy już nie będziemy mieli czasu, żeby pracować czy zarabiać pieniądze, ani nic.

Staralem się jej wytłumaczyć, że jeżeli nawet będziemy musieli spełniać te obowiązki, to i tak w ciągu dnia zostanie nam jeszcze trochę czasu na inne zajęcia i rozrywki. Ale ona uparła się, żeby widzieć tę sprawę w najczarniejszych barwach.

— Pomówię z panią Dorman, kiedy wróci, i zobaczę, czy nie uda mi się z nią dogadać — przyrzekłem. — Może chce, żebyśmy podnieśli jej pensję. Wszystko będzie dobrze. Chodźmy teraz do kościoła.

Kościół był wielki, stał na odludziu i ogromnie lubiliśmy tam chodzić, zwłaszcza w czasie jasnych nocy. Kiedyś wycięta tu ścieżka przebiegała przez las, dalej wzdłuż szczytu wzgórza przez duże łąki, dookoła muru otaczającego cmentarz kościelny, nad którym majaczyły stare cisy tworząc skupiska, czarnego cienia.

Ścieżkę, częściowo wybrukowaną, nazywano „drogą zmarłych”, jako że przez długi czas była to droga, którą wywożono zwłoki na cmentarz. Cmentarz kościelny zaś był obficie zadrzewiony, rzucały nań cień wielkie klony, które rosły tuż za otaczającym go murem i wyciągały swoje majestatyczne ramiona błogosławiąc szczęśliwych zmarłych. Duża niska kruchta prowadziła do kościoła poprzez wejście w stylu normandzkim oraz przez ciężkie dębowe drzwi nabijane żelaznymi ćwiekami. W środku wznosiły się w ciemność łuki, między którymi znajdowały się osiatkowane okna, które w świetle księżycy rysowały się białymi plamami. W prezbiterium w oknach były witraże ukazujące w nikłym blasku swoje szlachetne barwy, co sprawiało, że czarny dąb ławek na chórze nie wydawał się bardziej materialny niż cienie. Po obu stronach ołtarza spoczywały szare marmurowe postacie rycerzy w pełnej zbroi, leżące na niskich płytach, z rękami uniesionymi w geście wiekuistej modlitwy; rzecz doprawdy dziwna, że figury te zawsze było widać, jeśli do kościoła wpadał bodajże najślabszy promień światła. Nikt nie pamiętał nazwisk rycerzy, ale chłopcy opowiadali o nich, iż byli to

ludzie gwałtowni, podli, że rabowali na lądzie i morzu, że stanowili prawdziwą plagę swoich czasów oraz że dopuszczali się czynów tak odrażających, iż dom, w którym mieszkali wielki dom, który nawiasem mówiąc, stał na miejscu naszego domku — został ugodzony przez piorun z zemsty Niebios. Lecz mimo wszystko za złoto ich dziedziców zakupiono dla nich miejsca w kościele. Patrząc na złe, surowe twarze wyrzeźbione w marmurze, bez trudu można było uwierzyć w tę historię.

Tej nocy kościół wyglądał wyjątkowo pięknie i tajemniczo, jako że cienie cyprysów padały przez okno na posadzkę głównej nawy, sięgając do kolumn koronkowym zarysem. Usiedliśmy nic nie mówiąc i obserwowaliśmy wzniosłe piękno starej świątyni czując przy tym odrobinę grozy, która natchnęła jej dawnych budowniczych. Podeszliśmy do prezbiterium i spojrzeliśmy na śpiących wojowników. A potem przez pewien czas odpoczywaliśmy na kamiennej ławie w kruchcie, patrząc na ciągnące się, oświetlone spokojnym blaskiem księżycza łąki, każdą komórką ciała wyczuwając spokój tej nocy i naszej jakże pełnej szczęścia miłości; w końcu wyszliśmy z kościoła z uczuciem, że nawet szorowanie i wszystkie ciężkie prace są w najgorszym razie tylko drobnym kłopotem.

Pani Dorman wróciła ze wsi i od razu zaprosiłem ją na rozmowę w cztery oczy:

— Pani Dorman — odezwałem się, kiedy weszła do mojej pracowni — dlaczego to pani nie chce z nami zostać?

— Chciałabym odejść, sir, przed końcem miesiąca — odparła ze zwykłą sobie spokojną godnością.

— Czy ma nam pani coś do zarzucenia?

— Ależ nie, sir. i pan, i pani zawsze byli bardzo dobrzy, jestem pewna...

— O cóż więc chodzi? Czy pani za mało płacimy?

— Nie, sir, otrzymałam wystarczające wynagrodzenie.

— W takim razie dlaczego pani nie chce zostać?

— Wolałabym nie — z pewnym wahaniem — moja siostrzenica jest chora.

— Ale pani siostrzenica jest chora, odkąd przyjechaliśmy tutaj. Nie może pani zostać na następny miesiąc?

— Nie, sir, muszę odejść w czwartek.

— Hm, mogła nas pani uprzedzić wcześniej. Nie będzie dość czasu, żeby kogoś znaleźć, a nasza pani nie jest w stanie wykonywać ciężkiej pracy domowej. Czy może pani zostać do następnego tygodnia?

— W przyszłym tygodniu będę mogła wrócić.

— Ale dlaczego musi pani odejść w tym tygodniu? — nalegałem. — Proszę mi to wyjaśnić.

Pani Dorman mocniej owinęła piersi niedużym szalem, który zawsze nosiła, jakby zmarzła. Potem powiedziała z pewnym wysiłkiem:

— Opowiadają, sir, że za katolickich czasów to był wielki dom i że wiele czynów tu popełniono.

Jakiego rodzaju były te „czyny”, można się było niejasno domyślić z tonu pani Dorman — był taki, że mógł człowiekowi zmrozić krew w żyłach. Byłem zadowolony, że Laura została u siebie. Zawsze była nerwowa, jak wszystkie osoby bardzo napięte, i wyczuwałem, że te bajki na temat naszego domu, opowiedane przez tę starą chłopkę, z jej sugestywnym sposobem bycia i tą zaraźliwą łatwowiernością mogły sprawić, że moja żona zaczęłaby mniej lubić nasz dom.

— Dorman — powiedziałem — proszę sobie z tego nic nie robić, że pani mi to mówi. Nie należę do tych młodych ludzi, którzy się śmieją z takich rzeczy.

Częściowo była to prawda.

— No cóż, sir — zniżyła głos — może pan widział w kościele koło ołtarza takie dwa kształty?

— Myśli pani o figurach rycerzy w zbroi? — powiedziałem wesoło.

— Myślę o tych dwóch ciałach naturalnej wielkości odrobionych w marmurze — ciągnęła dalej, i muszę przyznać, że jej określenie było tysiąc razy bardziej plastyczne niż moje, nie mówiąc już o przedziwnej sile i niesamowitości zawartej w określeniu „ciała naturalnej wielkości odrobione w marmurze”.

— Opowiadają, że w wigilię Wszystkich Świętych te dwa ciała siadają na swoich płytach, wstają z nich, a potem idą przez główną nawę w swoim marmurze (następne znakomite określenie, pani Dorman!) — a kiedy zegar kościelny wybija jedenastą, wychodzą przed drzwi kościoła, przechodzą przez groby, idą ścieżką zmarłych, i jeżeli noc jest wilgotna, rano widać ślady ich stóp.

— A dokąd one idą? — zapytałem dość zafascynowany.

— Wracają do swojego domu, sir, i jeżeli ktoś je spotka...

— No to cóż wtedy?

Ale nie, nie mogłem wyciągnąć z niej ani jednego słowa więcej poza tym, że jej siostrzenica jest chora i że musi odejść.

— Cokolwiek pan zrobi, sir, proszę wcześniej zamknąć drzwi w wigilię Wszystkich Świętych i nakreślić znak krzyża na progu i oknach.

— Ale czy ktokolwiek widział te rzeczy? — nalegałem. — Kto tu mieszkał zeszłego roku?

— Nikt, sir. Pani, która posiadała ten dom, mieszkała tu wyłącznie w lecie i zawsze wyjeżdżała do Londynu na cały miesiąc przed tą nocą. Bardzo mi przykro, że sprawiam kłopot panu i pani, ale moja siostrzenica jest chora i muszę odejść w czwartek.

Mógłbym ją był rozszarpać za powtarzanie takich absolutnie zmyślonych bredni po tym, kiedy mi już powiedziała, o co naprawdę chodzi.

Nie powtórzyłem Laurze podania o figurach, które „chodziły w swoim marmurze” częściowo dlatego, że legenda dotycząca naszego domu mogłaby zaniepokoić moją żonę, częściowo zaś, jak sądzę, z powodu pewnej bardziej nadprzyrodzonej przyczyny. Historia ta wydała mi się nieco inna niż wszystkie lego rodzaju opowieści i nie chciałem nic mówić na ten temat, zanim nie minie ów dzień. Jednakże bardzo szybko przestałem o tym myśleć. Malowałem portret Laury na tle okna witrażowego i nie byłem w stanie myśleć o niczym innym. Żółte i szare zachodzące słońce tworzyło wspaniałe tło i pracowałem w zapamiętaniu malując twarz żony. W czwartek pani Dorman odeszła. Odchodząc zmiękla na tyle, że powiedziała:

— Proszę się zbyt nie niepokoić, proszę pani. jeżeli będzie cokolwiek, co mogłabym zrobić w przyszłym tygodniu, z pewnością to zrobię.

Czwartek minął zupełnie dobrze. Nadszedł piątek. I właśnie poniżej jest opis tego, co się wydarzyło w ów piątek.

Pamiętam, że wstałem wcześniej, rozpałem pod kuchnią i akurat odniosłem wielki sukces, któremu towarzyszyły kłęby dymu, kiedy moja mała żona zbiegła na dół równie promienna i słodka jak ten czysty poranek październikowy. Wspólnie przyrzadziliśmy śniadanie i stwierdziliśmy, że to bardzo zabawne. Wszystkie zajęcia domowe zostały wkrótce wykonane i gdy szczotki, miotły i wiadra znowu zamarły, w domu zapanowała prawdziwa cisza. To zdumiewające, jak jeden człowiek może zmienić atmosferę w domu. Naprawdę brakowało nam pani Dorman, niezależnie od myśli o garnkach i rondlach. Spędziliśmy dzień odkurzając książki, które potem równo ustawialiśmy. w wesołym nastroju zjedliśmy obiad złożony z mięsa na zimno i kawy. Laura, o ile to tylko możliwe, była jeszcze bardziej ożywiona, wesejsza i słodsza niż zawsze, i zacząłem myśleć, że trochę zajęć domowych naprawdę dobrze jej zrobi. Nigdy, odkąd się pobraliśmy, nie byliśmy tacy szczęśliwi, a spacer, jaki odbyliśmy po południu, należał do najszcześniejszych chwil w moim życiu. Obserwowaliśmy, jak głęboki szkarłat chmur powoli błędnie nabierając szarzyzny ołowiu na tle bladozielonego nieba, jak

biała mgła kłębi się wzdłuż żywopłotów na odległych bagniskach, a potem ręka w rękę wróciliśmy do domu.

— Jesteś smutna, kochanie — powiedziałem półzartem, kiedy usiedliśmy w naszym małym saloniku. Czekałem, żeby zaprzeczyła, gdyż moje milczenie było milczeniem zupełnego i całkowitego szczęścia. Ku mojemu zdumieniu odparła:

— Tak, chyba jestem smutna, a właściwie niespokojna. Nie najlepiej się czuję. Odkąd weszliśmy do domu. trzy czy cztery razy przebiegł mnie dreszcz, a przecież nie jest zimno?

— Nie — powiedziałem, mając nadzieję, że się nie przeziębila z powodu zdradliwej mgły, która nadpełzała z łąk, przeciwnie, noc się rodziła, umierał dzień. Nie. powiedziała, nie sądzi, żeby się przeziębila. A potem, po chwili milczenia, zapytała nagle:

— Czy miałeś kiedyś przeczucie, że stanie się coś złego?

— Nie — odparłem ze śmiechem — a gdybym je nawet miał, to i tak bym w to nie uwierzył.

— A ja tak — mówiła dalej — tej nocy, kiedy umarł mój ojciec, wiedziałam o tym, chociaż był daleko, w północnej Szkocji.

Odpowiedziałem jej milczeniem.

Przez jakiś czas siedziała wpatrzona w ogień, delikatnie gładząc moją rękę. Wreszcie zerwała się, podeszła do mnie z tyłu, odciągnęła moją głowę i pocałowała mnie.

— No, już mi przeszło powiedziała. — Jakie dziecko ze mnie! Chodź, zapal świece, zagramy kilka tych nowych duetów Rubinsteina.

Spędziliśmy pełną szczęścia godzinę czy dwie przy fortepianie.

Około pół do jedenastej zatęskniłem do mojej fajki na dobranoc, ale Laura była tak blada, że uznałem, iż byłoby to zbyt brutalne z mojej strony, gdybym napelnił nasz salonik dymem; mocnego prasowanego tytoniu.

— Wypalę fajkę na dworze — powiedziałem.

— Pozwól mi też wyjść.

— Nie, najdroższa, nie dziś wieczór, jesteś zbyt zmęczona. Nie zabawię długo. Idź do łóżka, bo jak nie, to jutro, oprócz czyszczenia butów będę musiał pielęgnować jeszcze inwalidę.

Pocałowałem ją i odwróciłem się, aby wyjść, kiedy zarzuciła mi ręce na szyję i przytrzymała, jakby już nigdy nie miała mnie puścić. Pogłaskałem ją po włosach.

— Nie, kotku, jesteś przepracowana. Te domowe zajęcia to było zbyt wiele dla ciebie.

Rozluźniła trochę swój uścisk i głęboko zaczerpnęła powietrza.

— Nie. Byliśmy dzisiaj bardzo szczęśliwi, Jack, prawda? Nie zostawaj zbyt długo.

— Nie, moja najdroższa.

Wyszedłem przez frontowe drzwi zostawiając je nie zamknięte. Cóż to była za noc! Postrzępione masy ciężkich czarnych chmur przetaczały co jakiś czas od horyzontu po horyzont i cieniutkie białe wianuszki przesłaniały gwiazdy. I przez ten prąd rzeki chmur płynął księżyc, borykając się z falami, po czym znowu znikał w ciemności.

Przechadzałem się tam i z powrotem rozkoszując się pięknem pogrążonej w spokoju ziemi i zmieniającego się co chwila nieba. Noc była absolutnie cicha. Wydawało się, że na dworze nic nie istnieje. Nie słychać było ani tupotania królików, ani świergotu na wpół uspiomych ptaków. I mimo że chmury płynęły po niebie, wiatr, który je przeganiał, ani na chwilę nie zniżał się ku ziemi, by zaszeleścić liśćmi na leśnych ścieżkach. Za łąkami widziałem wieżę kościoła wystrzelającą czarnoszarą sylwetką na tle nieba. Udałem się w tamtą stronę, myśląc o trzech miesiącach naszego szczęścia.

Usłyszałem bicie zegara w kościele. Już jedenasta! Zawróciłem do domu, ale powstrzymała mnie noc. Nie mogłem jeszcze wrócić do naszych małych, nagranych pokoi. Pójdę do kościoła.

Przechodząc koło domu zajrzałem w niskie okna. Laura na wpół leżała w swoim fotelu

naprzeciwko ognia. Nie mogłem dostrzec jej twarzy, widziałem jedynie jej małą główkę ciemniejącą na tle bladoniebieskiej ściany. Siedziała bardzo spokojnie. Niewątpliwie spała.

Powoli ruszyłem skrajem lasu. Jakiś dźwięk zakłócił nocną ciszę, jakiś szelest w lesie. Stałem i zacząłem nasłuchiwać. Dźwięk też ucichł. Poszedłem dalej i teraz wyraźnie usłyszałem inne kroki niż moje, wtórujące moim jak echo. Najprawdopodobniej był to jakiś kłusownik czy ktoś kradnący drzewo, jako że w naszym arkadyjskim otoczeniu spotykało się takich ludzi. Lecz ktokolwiek to był, zachowywał się głupio, że nie stąpał ciszej. Skręciłem do lasu i teraz odgłos kroków zdawał się dochodzić ze ścieżki, z której dopiero co zszedłem. Pomyślałem, że to musi być echo. Las w świetle księżyca wygląda wspaniale. Ogromne paprocie i poszycie odbijały padające przez rzadziejące listowie blade światło. Pnie drzew stały dokoła mnie jak gotyckie kolumny. Przypomniały mi o kościele i skręciłem na ścieżkę zmarłych, przeszedłem przez bramę między grobami do niskiej kruchty.

Zatrzymałem się na chwilę przy kamiennej lawie, skąd oboje z Laurą obserwowaliśmy nikaący krajobraz. Potem zauważyłem, że drzwi do kościoła były otwarte. Zrobiłem sobie wyrzut, że poprzedniego wieczoru ich nie zamknąłem. Byliśmy jedynymi ludźmi, którym kiedykolwiek poza niedzielami chciało się zachodzić do kościoła, i zdenerwowałem się, że przez nasze niedbalstwo wilgotne jesienne powietrze mogło się dostać do wnętrza i uszkodzić stare tkaniny. Wszedłem do środka. Może się to wyda dziwne, że przeszedłem przez połowę nawy głównej, zanim przypomniałem sobie — z nagłym dreszczem, po którym poczułem równie nagły przypływ pogardy dla samego siebie — że był to właśnie dzień i godzina, kiedy zgodnie z tradycją „kszałty odrobione w marmurze jak żywe” zaczynają chodzić.

Kiedy przypomniałem sobie legendę, a przypomniałem ją sobie z dreszczem, którego natychmiast się zawstydzilem, nie pozostało mi nic innego, jak podejść do ołtarza, żeby tylko rzucić okiem na figury — jak powiedziałem sobie w duchu; w rzeczywistości chciałem się upewnić, po pierwsze, że nie wierzę w legendę, po drugie, że była to nieprawda. Właściwie byłem zadowolony, że tu przyszedłem. Pomyślałem sobie, że będę mógł powiedzieć pani Dorman, jak gołosłowne są jej wymysły i jak spokojnie spały marmurowe posągi o tej godzinie upiorów. Trzymając ręce w kieszeniach podszedłem do ołtarza. W szarym, przyćmionym świetle wschodnia część kościoła wydawała się większa niż zazwyczaj i łuki nad dwoma grobowcami też wydały mi się większe. Księżyc wyrzwał zza chmur i ukazał mi przyczynę tego zjawiska. Stałem jak wryty, serce moje wykonało skok, który mnie omal nie zadławił, a potem zamarło ohydnie.

„Ciała odrobione jak żywe” zniknęły! I marmurowe płyty, na których spoczywały, rozpościerały się szerokie i nagie w niewyraźnym świetle księżyca, padającym ukośnie przez wschodnie okno.

Czy one naprawdę odeszły, czy też ja oszalałem? Zapanowałem nad nerwami, nachyliłem się i przesunąwszy dłonią po gładkich płytach poczułem ich płaską równą powierzchnię. Czy ktoś zabrał stąd te posągi? Czy też był to jakiś szkaradny psikus? Tak czy owak przekonam się. Błyskawicznie zrobiłem pochodnię z gazety, którą przypadkiem miałem w kieszeni, zapaliłem ją, trzymając wysoko nad głową. Żółty blask oświetlił ciemne łuki i płyty. Figur nie było! A ja w kościele znajdowałem się sam, ale czy rzeczywiście sam?

A potem ogarnęło mnie przerażenie, przerażenie nie dające się ani określić, ani opisać przytłaczająca pewność największej klęski, która się już dokonała. Cisnąłem pochodnię na ziemię i popędziłem przez nawę główną, przez kruchtę, zagryzając wargi, żeby głośno nie krzyczeć. Och, czy oszalałem, czy coś mną oświadczyło? Przeskoczyłem murek cmentarny i puściłem się prosto, na przelaj; przez pola, oświetlone światłem padającym z naszych okien. W chwili kiedy pokonałem pierwszy przelaz, wydało mi się, że z ziemi wyskoczyła jakaś ciemna postać. Wciąż oszalały z tej pewności nieszczęścia, rzuciłem się na to coś, co stało mi na przeszkodzie, i zawołałem: „Zejdź mi z drogi, słyszysz!”

Ale moje pchnięcie spotkało się z o wiele bardziej energicznym odporem niż się

spodziewałem. Moje ręce zostały uchwycone powyżej łokci i przytrzymane jak w imadle, a kościsty irlandzki doktor potrząsnął mną.

— Pozwól mi przejść, ty idioto! — zawołałem bez tchu. — Marmurowe posągi wyszły z kościoła, mówię panu, że one wyszły!

Wybuchnął gromkim śmiechem.

— Widzę, że jutro rano będę musiał panu dać jakąś miksturkę. Pan za dużo pali i słucha bajek starych bab.

— Mówię panu, że widziałem puste płyty.

— No dobrze, proszę więc wrócić tam ze mną. Idę do starych Palmerów — ich córka jest chora; zajrzemy do kościoła i proszę mi pokazać te puste płyty.

— Niech pan idzie, jeśli ma pan ochotę — powiedziałem już z mniejszą wściekłością z powodu jego śmiechu — ja wracam do domu, do mojej żony.

— Nonsens, człowieku — powiedział — czy pan myśli, że pozwolę na coś podobnego? Przez całe życie będę pan spowiadał, że widział pan, jak ożywił się lity marmur, a ja całe życie będę opowiadał, że okazał się pan tchórzem. Nie, sir, nie robi pan tego!

Nocne powietrze, ludzki głos i sędzę, że również i fizyczny kontakt z sześcioma stopami rzetelnego zdrowego rozsądku przywróciły mnie trochę do równowagi, a słowo „tchórz” podziałało jak psychiczny prysznic.

— W takim razie chodźmy — zgodziłem się ponuro — może istotnie ma pan rację.

Doktor wciąż trzymał mnie mocno za ramię. Przeszliśmy przez przełaz z powrotem do kościoła. Wszędzie panował śmiertelny spokój. W kościele unosiła się woń wilgoci i ziemi. Przeszliśmy przez nawę główną. Nie wstydzę się wyznać, że zamknąłem oczy: wiedziałem, że figur tam nie będzie. Usłyszałem, jak Kelly zapala zapalną.

— Są tutaj, widzi pan, jak na dłoni; albo się to panu śniło, albo, za przeproszeniem, wypił pan trochę.

Otworzyłem oczy i przy świetle gasnącej zapalniczki Kelly'ego- zobaczyłem dwie postacie leżące „w marmurze” na swoich płytach. Głęboko zaczerpnąłem powietrza.

— Jestem panu nieskończenie wdzięczny — powiedziałem. — To musiała być jakaś gra światła albo pracowałem zbyt intensywnie, prawdopodobnie to jest tego przyczyną. Byłem najgłębiej przekonany, że ich tu nie ma.

— Zdawałem sobie z tego sprawę — odpowiedział dość posępnie — musi pan uważać na swój umysł, przyjacielu.

Pochylił się i zaczął się przyglądać postaci umieszczonej z prawej strony, której kamienna twarz wyrażała nikczemność i martwość.

— Na Boga! — powiedział. — Co tu się dzieje. Ta ręka jest złamana!

Istotnie tak było. Jestem pewien, że była nietknięta, kiedy oboje, Laura i ja, zaszedliśmy tu ostatnio.

— Może ktoś próbował je poruszyć? — pytająco powiedział młody lekarz.

— Chodźmy — zaproponowałem — bo moja żona zacznie się niepokoić. Znajdzie pan do nas i napije się pan szklaneczkę whisky, na zgubę duchom i za mój lepszy nastrój.

— Powinienem pójść do Palmerów, ale jest już za późno, lepiej zostawię to sobie na jutro rano — odparł.

Sądzę, iż wiedział, że mnie potrzebny jest bardziej niż córce Palmerów, i dyskutując, jak tego rodzaju złudzenie mogło być możliwe, i wyciągając z tego uogólnienia dotyczące pojawienia się duchów, skierowaliśmy się do naszego domku. Idąc ogrodową ścieżką zobaczyliśmy, że jasne światło wylewa się przez frontowe drzwi, a niebawem ujrzałem, że drzwi do saloniku są również otwarte. Czy Laura wyszła?

— Wejźmy do środka — zaproponowałem i doktor Kelly wszedł za mną do saloniku. Cały gorzał od pozapalanych świec nie tylko woskowych, paliło się też chyba z tuzin okapujących łojowych stoczków powstawianych do różnych waz i ozdób w najbardziej nieoczeki-

wanych miejscach. Światło, jak wiedziałem, pomagało Laurze opanować zdenerwowanie. Biedne dziecko! Dlaczego zostawiłem ją samą? Postąpiłem jak brutal.

Rozejrzeliśmy się po pokoju. Przeciąg sprawił, że płomyki świec wszystkie pochylone były w jedną stronę. Fotel Laury był pusty, jej chusteczka do nosa oraz książka leżały na ziemi. Odwróciłem się do okna. Tu, w niszy okiennej, zobaczyłem ją. Och, moje dziecko, moje ukochanie, czy podeszła do tego okna, żeby mnie widzieć? I co weszło do pokoju za nią? Na widok czego odwróciła się z wyrazem przerażenia i panicznego lęku? Och, moje małenstwo, czy myślała, że kroki, które słyszy, należą do mnie i odwróciła się, żeby stanąć oko w oko — z czym?

Przewróciła się na stół pod oknem. Połowa jej ciała spoczywała na stole, połowa na ławeczce w wykuszu, głowa zwisała ze stołu, rozpuszczone brązowe włosy opadały na dywan. Wargi miała rozchylone, oczy szeroko otwarte. W tej chwili nie widziały już nic. Ale co zobaczyły po raz ostatni?

Doktor ruszył w jej stronę, ale odepchnąłem go i podbiegłem do Laury, chwyciłem ją w ramiona i zawołałem:

— Już wszystko dobrze, Lauro. Mam cię całą i zdrową, droga moja!

Osunęła mi się w ramionach. Wziąłem ją w objęcia i pocałowałem, obsypałem piśszczotliwymi wyrazami, ale myślę, że przez cały czas zdawałem sobie sprawę, że nie żyje. Jej dłonie były kurczowo zaciśnięte. W jednej z nich coś mocno trzymała. Kiedy byłem już całkowicie pewny, że nie żyje, że wszystko przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, otworzyłem jej dłoń, aby zobaczyć, co w niej trzyma.

Był to szary marmurowy palec.

Przełożył Aleksander Bogdański

BRAM STOKER

GOŚĆ DRAKULI

Kiedy wyruszyliśmy na naszą przejażdżkę, słońce świeciło jasno nad Monachium, a powietrze przepęniała radość wczesnego lata. Gdy już mieliśmy odjechać, Herr Delbrück (maitre d'hôtel hotelu „Cztery Pory Roku”, w którym się zatrzymałem) zszedł na dół z gołą głową, zbliżył się do powozu i życząc mi miłego spaceru, zwrócił się do woźnicy, trzymając rękę na klamce drzwiczek powozu:

— Pamiętajcie, żeby wrócić przed zapadnięciem nocy. Niebo jest pogodne, ale w północnym wietrze czuje się chłodny powiew, co świadczy, że może nadejść nagła burza. Jestem jednak pewien, że się nie spóźnicie. — W tym momencie uśmiechnął się i dodał: — Chyba wiecie, jaka noc jest dzisiaj?

Johann odpowiedział znacząco: — *Ja, mein Herr* — i przykładając rękę do kapelusza szybko odjechał. Kiedy miasto zostało za nami, zapytałem, dając mu uprzednio znak, żeby się zatrzymał:

— Powiedzcie mi, Johann, co ma być dzisiaj w nocy?

Przeżegnał się udzielając mi lakonicznej odpowiedzi: — Noc Walpurgii. — Po czym wyjął zegarek, wielki staromodny srebrny zegarek ogromny jak rzepa, popatrzył nań marszcząc brwi i z lekkim zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. Uświadomiłem sobie, że w ten sposób pragnie z całym szacunkiem zaprotestować przeciwko niepotrzebnej zwłoce. Oparłem się o poduszki powozu i skinąłem, żeby jechał dalej. Ruszył gwałtownie, jakby

chcąc nadrobić stracony czas. Konie często unosiły głowy i podejrzliwie wachały powietrze. Ja zaś rozglądałem się dokoła z niepokojem. Droga była dosyć ponura, gdyż przejeżdżaliśmy przez coś w rodzaju wysokiego, omiatanego wiatrem płaskowyżu.

Gdyśmy tak jechali, spostrzegłem drogę która, sprawiała wrażenie bardzo mało uczęszczanej i wydawała się przechodzić przez niewielką wietrzną dolinę. Wyglądała tak zachęcająco, iż narażając się nawet na ryzyko, że go dotknę, zawołałem do Johanna, by się zatrzymał. Kiedy stanął, oznajmiłem mu, że chciałbym zjechać na tę drogę. Zaczął się wymawiać na wszelkie sposoby, kreśląc na piersi znak krzyża. Pobudziło to nieco moją ciekawość i zasypałem go pytaniami. Cały czas, odpowiadał wymijająco i wielokrotnie, na znak protestu, zerkał na zegarek. Wreszcie powiedziałem:

— No cóż, Johann, chcę zejść na tę drogę. Nie proszę was, byście mi towarzyszyli, jeśli nie macie ochoty, ale powiedzcie mi tylko, proszę, dlaczego nie chcecie tego zrobić, to wszystko, czego od was chcę.

W odpowiedzi tak szybko znalazł się na ziemi, iż można było sądzić, że spadł z kozła. Wyciągnął błagalnie ręce i zaczął mnie zaklinać, abym tam nie szedł. Mieszał akurat tyle słów angielskich z niemieckimi, żebym był w stanie zrozumieć, co mi chce powiedzieć. Wciąż miałem wrażenie, że jeszcze chwila, a wyzna mi coś — właśnie to coś, co najwidoczniej wprawiało go w takie przerażenie — lecz za każdym razem milkł, po czym mówił żegnając się:

— Noc Walpurgii.

Próbowałem z nim dyskutować, ale nie jest łatwo dyskutować z człowiekiem, nie znając języka, którym się posługuje. Całą korzyść z takiego stanu rzeczy odnosił niewątpliwie on, gdyż mimo iż zaczynał mówić po angielsku — bardzo prymitywnym i łamanym językiem — po chwili, wpadał w podniecenie i przechodził na swój język ojczysty — i za każdym razem, kiedy to robił, patrzył na zegarek. Po chwili konie znowu zaczęły się niepokoić i wachać powietrze. Na ten widok Johann zbladł jak ściana, rozejrział się z przestrachem, a potem nagle skoczył do przodu, chwycił konie za cugle i odprowadził je jakieś dwadzieścia stóp dalej. Szedłem za nim, pytając, czemu to robi. W odpowiedzi przeżegnał się, wskazał miejsce, któreśmy opuścili, i poprowadził powóz w kierunku drugiej drogi, wskazując krzyż i mówiąc, najpierw po niemiecku, potem po angielsku:

— Pochowali go, sam się zabił.

Przypomniałem sobie o starym obyczaju, że samobójców chowa się na rozstajnych drogach.

— Och, rozumiem, samobójstwo. To ogromnie interesujące!

Lecz choćby mnie kto zabił, nie byłem w stanie zrozumieć, dlaczego konie były wystraszone.

Gdyśmy tak rozmawiali, usłyszeliśmy nagle jakiś dźwięk — ni to skowyt, ni to szczekanie. Głos ten dochodził ze sporej odległości, niemniej konie znowu się zaniepokoiły i Johann musiał je bez przerwy uspokajać. Był bardzo blady, kiedy powiedział:

— To brzmi jak głos wilka, ale teraz nie ma tu wilków.

— Nie? — zapytałem. — A czy dawno wilki podchodziły tak blisko do miasta?

— Dawno, dawno — odparł — na wiosnę i w lecie, ale kiedy są śniegi, podchodziły tu całkiem niedawno.

Podczas gdy głąskał konie i próbował je uspokoić, niebo raptem pokryły ciemne chmury. Słońce zniknęło i wydało mi się, że koło nas przemknęło tchnienie lodowatego wiatru. Było to jednakże zaledwie tchnienie, raczej coś w rodzaju ostrzeżenia niż fakt, jako że słońce znowu zaświeciło. Johann spojrział na horyzont spod uniesionej dłoni mówiąc:

— Burza śnieżna, nadejdzie bardzo niedługo.

Potem znowu popatrzył na zegarek i natychmiast, mocno ściągając lejce — jako że konie wciąż grzebały niespokojnie ziemię kopytami i potrząsały łbami — wspiął się na kozioł,

jakby nadszedł czas, abyśmy ruszyli w dalszą podróż.

Ale ja byłem uparty i nie od razu wsiadłem do powozu.

— Opowiedzcie mi — prosiłem — o tej miejscowości, do której prowadzi ta droga. — pokazałem w dół.

Znowu się przeżegnał i wymamrotał modlitwę, zanim udzielił mi odpowiedzi:

— To jest diabelskie.

— Co jest diabelskie?

— Wieś.

— To tam jest wieś?

— Nie ma. Nikt tam nie mieszka od trzystu lat.

Moja ciekawość została pobudzona.

— Ale powiedzieliście przecież, że tam jest wieś.

— Była.

— A gdzie się podziała w tej chwili?

I w tym momencie wybuchnął, zaczął mi opowiadać długą historię po niemiecku i angielsku, tak mieszając słowa obu tych języków, że nie byłem w stanie niczego dokładnie pojąć, zrozumiałem tylko z grubsza, że dawno temu, paręset lat, powymierali tam ludzie i pochowano ich w grobach: po jakimś czasie spod ziemi zaczęły rozlegać się głosy, a kiedy pootwierano groby, znaleziono w nich mężczyźni i kobiety z rumieńcami na twarzy i z ustami czerwonymi od krwi. Pośpiesznie, chcąc ratować życie (och, również i dusze! — i w tym momencie przeżegnał się), ci, którzy pozostali przy życiu, puciekali do innych miejscowości, gdzie zamieszkali, a zmarli pozostali zmarłymi i niezmarłymi — ani tak, ani siak. Widać było, że Johann jest wyraźnie przestraszony wypowiadając te ostatnie słowa. Kiedy dalej opowiadał, ogarniało go coraz większe podniecenie. Miałem wrażenie, że całkowicie dał się ponieść fantazji; zakończył swoje opowiadanie najkwasyczniejszym atakiem strachu: zbladł, zaczął się pocić, trząść, rozglądać na wszystkie strony, jakby czekając, że czyjaś straszliwa obecność zaraz da znać o sobie, tu, w blasku słońca, na otwartej równinie. W końcu zawołał w zupełnej desperacji:

— Noc Walpurgii! — i wskazał na powóz, proponując mi, żebym wsiadł. Na ten widok zawrzała we mnie angielska krew i cofając się powiedziałem do Johanna:

— Wy się boicie, Johann, boicie się! Jedźcie do domu, ja wrócę sam. Spacer dobrze mi zrobi. — Drzwiczki powozu były otwarte. Wziąłem z siedzenia moją dębową laskę, którą zawsze zabieram wybierając się na niedzielną wycieczkę, zamknąłem drzwiczki, gestem wska-załem leżące za nami Monachium i powiedziałem: — Jedźcie do domu, Johann, noc Walpurgii nie dotyczy Anglików.

Konie były w tej chwili bardziej znarowione niż dotychczas i Johann robił, co mógł, żeby je uspokoić, równocześnie w największym podnieceniu błagając mnie, żebym nie popełniał takiego głupstwa. Współczułem biednemu człowiekowi, który przemawiał do mnie z takim przejęciem, ale równocześnie trudno mi się było powstrzymać od śmiechu. Z jego angielszczyzny nie pozostało ani śladu. Ogarnięty trwogą zapomniał, że jedynym sposobem, abym go zrozumiał, jest przemawianie do mnie w moim języku ojczystym, podczas gdy on paplał po niemiecku. W końcu zaczęło mnie to wszystko nudzić. Wydawszy mu polecenie, że ma wracać do Monachium, zawróciłem przez skrzyżowanie dróg i udałem się w kierunku doliny.

Z gestem pełnym rozpaczony Johann nawrócił konie w kierunku miasta. Oparłem się na lasce i patrzyłem w ślad za nim. Przez jakiś czas jechał wolno drogą; po chwili na szczycie wzgórza pojawił się wysoki chudy człowiek. Tyle tylko mogłem dostrzec z tej odległości. Kiedy człowiek ów zbliżył się do koni, zaczęły stawać dęba, gryźć się nawzajem i kwiczeć z przerażenia. Johann nie był już w stanie ich utrzymać; pomknęły drogą, uciekając jak oszalałe. Obserwowałem je, dopóki nie zniknęły z mojego pola widzenia, po czym zacząłem się

rozglądać za tym obcym człowiekiem, lecz okazało się, że zniknął również i on.

Z lekkim sercem ruszyłem boczną drogą przez coraz głębszą dolinę. Z tego, co widziałem, nie było najmniejszego powodu do zastrzeżeń, jakie żywił Johann; sądzę, że wędrowałem tak kilka godzin, nie zastanawiając się ani nad odległością, ani nad upływem czasu, nie napotykając po drodze ani jednego człowieka czy domu. Cała okolica była całkowicie opustoszała, ale nie zwracałem na to specjalnej uwagi do chwili, kiedy minąwszy zakręt drogi, wyszedłem na postrzępiony skraj lasu. Dopiero wówczas zdałem sobie sprawę, że zupełnie podświadomie pozostawałem pod wrażeniem opustoszenia całej okolicy, przez którą przechodziłem.

Usiadłem, chcąc choć trochę wypocząć, i zacząłem się rozglądać. Uderzyło mnie, że było znacznie chłodniej aniżeli w momencie, kiedy rozpoczynałem swój spacer — wydało mi się, że słyszę dokoła jakieś westchnienia, a od czasu do czasu, wysoko w górze, coś jakby przytłumiony ryk. Spoglądając w górę dojrzałem, że na dużej wysokości, z północy na południe szybko przesuwają się grube zwały ogromnych chmur. Były to zwiastuny nadciągającej burzy, występujące w górnych warstwach powietrza. Trochę zmarzłem, ale myśląc, iż jest to skutek siedzenia bez ruchu po marszu, ruszyłem dalej.

Okolice, przez którą teraz przechodziłem, była o wiele bardziej malownicza. Nigdzie nie zauważyłem żadnych obiektów, które by się mogły rzucać w oczy, ale wszystko, co mnie otaczało, było urokliwie piękne. Zupełnie nie zważałem na godzinę, i dopiero pogłębiający się zmierzch zmusił mnie do zastanowienia się, jak odnaleźć drogę do domu. Jasność dnia zniknęła. Powietrze było zimne i teraz mogłem wyraźnie zauważyć, jak wysoko nad głową przesuwają się masy chmur. Towarzyszył temu jakiś oddalony gwałtowny dźwięk i wydawało mi się, że od czasu do czasu poprzez ten odgłos dociera do mnie tajemniczy krzyk, który woźnica określił jako wycie wilka. Zawahałem się chwilę. Ale ponieważ postanowiłem sobie, że obejrzę opuszczoną wieś, ruszyłem dalej i wyszedłem na szeroką otwartą przestrzeń, zewsząd otoczoną wzgórzami, ich stoki porastały drzewa, które schodziły w dół aż ku równinie i kępami rosły na łagodniejszych zboczach i w rozsianych tu i ówdzie kotlinach. Przebiegłem wzrokiem wzdłuż wijącej się drogi i ujrzałem, że tworzy ona zakręt w pobliżu jednej z najgęściejszych kęp, a potem znika za nią.

Kiedy się tak przyglądałem drodze, w powietrzu poczułem podmuch zimna i zaczął padać śnieg. Pomyślałem o tych wielu milach pustkowie, jakie pozostały za mną, i szybko ruszyłem dalej, aby się schronić wśród drzew widniejących przede mną. Niebo ciemniało coraz bardziej, śnieg padał szybciej, coraz gęściejszy, aż w końcu cała ziemia, i przede mną, i wszędzie dokoła, zmieniła się w migotliwy dywan, którego krańce rozplywały się we mgle. Droga była tu kiepska i na płaskim terenie jej pobocza nie rysowały się tak wyraźnie jak tam, gdzie przechodziła przez wzgórze; niebawem stwierdziłem, że musiałem z niej zbiec, jako że pod nogami nie czułem już twardej powierzchni i zacząłem się głębiej zapadać w trawę i mech. Wiatr przybrał na sile, dał coraz mocniej, aż w końcu byłem zmuszony biec, popychany przez niego. Powietrze zrobiło się lodowato zimne i pomimo że byłem wysportowany, zaczęło mi to doskwierać. Śnieg padał teraz tak gęsty i tak się kłębił dokoła mnie, że z trudem mogłem utrzymać otwarte oczy. Niebo co chwila rozdzierały gwałtowne błyskawice i w ich świetle dojrzałem przed sobą spore skupisko drzew, głównie cisów i cyprysów, pokrytych warstwą śniegu.

Niebawem znalazłem się pod osłoną drzew i tam, we względnej ciszy, słyszałem, jak wysoko nad moją głową wyje wiatr. W tej chwili czerń burzy zaczęła się zlewać z ciemnością nocy. Burza, zaczęła się chyba powoli oddalać, teraz dawała o sobie znać jedynie gwałtownymi podmuchami i porywami wiatru. W takich chwilach zdawało mi się, że niesamowity dźwięk wydawany przez wilka powtarza wiele podobnych głosów dokoła mnie, naśladując go niby echo.

Co jakiś czas przez czarną masę sunących chmur przebijał się blask księżyca, oświetla-

jąc całą okolicę, co pozwalało mi dostrzec, że znajduję się na skraju zwartej skupiska cyprysów i cisów. Ponieważ śnieg przestał padać, wyszedłem spod swojej osłony i zacząłem się rozglądać bardziej dokładnie. Wydało mi się, że wśród tylu starych fundamentów, obok których przechodziłem, ostał się jeszcze jakiś dom, który mimo iż zrujnowany, mógłby na jakiś czas zapewnić mi schronienie. Posuwając się skrajem zagajnika odkryłem, że otacza go niski murek, i idąc wzdłuż niego, wkrótce natrafiłem w nim na wejście. W tym miejscu cyprysy tworzyły aleję, która wiodła do sylwety jakiejś kwadratowej budowli. Ale akurat w momencie, kiedy ją dojrzałem, płynące chmury przesłoniły księżyc, tak że dalej posuwałem się aleją w zupełnej ciemności. Wiatr musiał teraz być jeszcze zimniejszy, ponieważ gdy szedłem, wstrząsnął mną dreszcz. Ale przyświecała mi nadzieja, że znajdę jakieś schronienie, szedłem więc po omacku dalej.

Zatrzymałem się, gdyż nagle zapanowała kompletna cisza. Burza minęła; prawdopodobnie solidaryzując się z ciszą, jaka ogarnęła naturę, odniosłem wrażenie, że zatrzymało się również moje serce. Ale trwało to krótką chwilę; nagle blask księżyca przebił się przez chmury i zobaczyłem, że znajduję się na cmentarzu i że kwadratowa budowla widniejąca przede mną jest wielkim, masywnym grobowcem z marmuru, białego jak śnieg, który pokrywał grobowiec i wszystko dokoła. W chwili gdy zabłysnął księżyc, rozległo się gwałtowne westchnienie burzy, która zdawała się odzyskiwać siły, wydając długie, niskie wycie, jakby zawył wiele psów czy wilków. Byłem przestraszony i wstrząśnięty, poczułem bardzo wyraźnie, że ogarnia mnie zimno, postępując aż do serca. A potem, kiedy blask księżyca nadal zalewał marmurowy grobowiec, burza dała następny dowód swojego powrotu — jakby wracała na swój dawny szlak. Jak zafascynowany podszedłem do grobowca, chcąc go obejrzeć i zrozumieć, dlaczego stoi samotnie w takim miejscu. Obszedłem go dokoła i ponad doryckimi drzwiami odczytałem napis w języku niemieckim:

Hrabina Dolinger
z Grazu
Styria
poszukiwana i znaleziona martwa
1801

Na szczycie grobowca, na pozór przechodząc przez lity marmur — jako że grobowiec był zbudowany z kilku potężnych bloków kamienia — widniało wielkie żelazne ostrze czy stożek. Kiedy zaszedłem od tyłu, ujrzałem napis z wielkich liter wypisany cyrylicą:

Zmarły podróżuje szybko

W tym wszystkim było coś tak tajemniczego i niesamowitego, że musiałem zawrócić i poczułem, że robi mi się słabo. Po raz pierwszy pożałowałem, że nie usłuchałem rady Johanna. I w tym momencie przemknęła mi przez głowę myśl — a nastąpiło to w tak niezwykłych okolicznościach, że poczułem się wstrząśnięty — przecież to była noc Walpurgii!

Noc Walpurgii, kiedy zgodnie z wierzeniami milionów ludzi, diabeł hasa po świecie, groby się otwierają, a zmarli wychodzą z nich i spacerują. Kiedy wszystkie złe moce na ziemi, w powietrzu i wodzie hasają. I właśnie tego miejsca woźnica wystrzegał się najbardziej, tej wyludnionej od wieków wsi. Właśnie tu pochowany był samobójca; i było to miejsce, w którym znalazłem się sam jak palec — nie uzbrojony, trzęsący się z zimna, w całunie śniegu, kiedy wściekła burza znowu się miała na mnie zwalić! Przywołałem na pomoc całą swoją filozofię, całą religię, jakiej mnie nauczono, całą odwagę, żeby się nie załamać w przystępie przerażenia.

Teraz zważyło się na mnie prawdziwe tornado. Ziemia dygotała, jakby z grzotem galopowało po niej tysiące koni; tym razem burza niosła na swoich lodowych skrzydłach nie śnieg, ale ogromny grad, walący z taką siłą, jakby był wyrzucany ręką balearskich procarzy

— grad, który ogołacał drzewa z liści i gałęzi, tak że cyprysy tworzyły teraz taką samą osłonę jak lodygi zboża. W pierwszym momencie podskoczyłem do najbliższego drzewa, ale po chwili musiałem wyjść stamtąd i poszukać jedyne miejsce, które wydawało się ofiarowywać schronienie — głębokiego doryckiego wejścia do marmurowego grobowca. Potem, kiedy już przycupnąłem koło masywnych drzwi z brązu, miałem niejaką osłonę przed tłukącym gradem, bo kulki lodu trafiały w»e mnie jedynie wówczas, kiedy odbijały się od ziemi albo od powierzchni marmuru.

Gdy oparłem się o drzwi, poruszyły się lekko i otworzyły do wnętrza. W czasie tak okrutnej nawałnicy nawet możliwość schronienia się w grobowcu była pociągająca. Właśnie zamierzałem wejść do środka, kiedy rozbłysła rozwidlona błyskawica oświetlając caluteńkie niebo. I w tym momencie ja, żywy człowiek, zobaczyłem — jako że mój wzrok skierowany był w ciemną głąb grobowca — piękną kobietę, o zaokrąglonych policzkach i czerwonych wargach, która zdawała się spać na marach. Kiedy nad moją głowę zadudnił piorun, coś mnie schwyciło, niby ręka olbrzyma, i zostałem wyrzucony w burzę. Wszystko to stało się tak nagle, że zanim mogłem sobie zdać sprawę ze wstrząsu, zarówno fizycznego jak psychicznego, poczułem, że uderzają we mnie ziarna gradu. Równocześnie doznałem dziwnego, przemożnego wrażenia, że nie jestem sam. Spojrzałem w kierunku grobowca. Właśnie w tym momencie znowu rozbłysła oślepiająca błyskawica i wydało mi się, że piorun trafia w żelazny stożek wieńczący szczyt grobowca i spływa po nim na ziemię, niszcząc i krusząc marmur w wybuchu płomienia. Martwa kobieta uniosła się w chwili męki, gdy ogarnął ją ogień, i jej przejmujący okrzyk bólu zmieszał się z trzaskiem piorunu. I to była ostatnia rzecz, jaką usłyszałem, właśnie to połączenie przerażającego dźwięku, po czym znowu zostałem złapany jakimś potężnym chwytem i odrzucony w bok, a grad tłukł we mnie i całe powietrze dokoła zdawało się rozbrzmiewać wyciem wilków. A ostatnią rzeczą, jaką zobaczyłem, była niewyraźna, biała poruszająca się masa, jakby wszystkie grobowce w pobliżu powysyłały widma spoczywających w nich i spowitych w całuny nieboszczyków, którzy otaczali mnie wśród białej, rozkołysanej zasłony zacinającego gradu.

Stopniowo nadeszło coś niby mglisty początek świadomości. Potem ogarnęło mnie wręcz straszne uczucie zmęczenia. Przez jakiś czas nie mogłem sobie niczego przypomnieć, ale powoli odzyskiwałem zmysły. Stopy bolały mnie jak poddawane torturom, mimo że nie byłem w stanie nimi poruszyć. Wydawały się zupełnie pozbawione czucia. Na kark i wzdłuż całego kręgosłupa jakby mi kto przyłożył kawał lodu, a uszy, podobnie jak stopy, były martwe, chociaż potwornie mnie bolały; natomiast w piersi czułem ciepło, co w zestawieniu z tamtymi doznaniem było czymś wręcz cudownym. Wszystko razem przypominało koszmar — fizyczny koszmar, jeśli się można tak wyrazić, gdyż ciężar uciskający pierś sprawiał, że trudno mi było oddychać.

Mam wrażenie, iż ten stan pozornego letargu utrzymywał się dość długo, a gdy minął, musiałem spać albo znajdować się w omdleniu. Potem zrobiło mi się niedobrze jak w pierwszym stadium choroby morskiej, a towarzyszyło temu wprost dzikie pragnienie, żeby od czegoś się uwolnić, ale nie miałem pojęcia od czego. Otaczała mnie ogromna cisza, jakby cały świat albo spał, albo był martwy — zakłócało ją jedynie powolne dyszenie, jakby tuż obok znajdowało się jakieś zwierzę. Poczulem na gardle ciepło i usłyszałem zgrzytanie. Zdałem sobie sprawę z przerażającej prawdy, która zmroziła mnie aż po samo serce, a przez mózg przetoczyła falę krwi. Leżało na mnie jakieś wielkie zwierzę i lizało mi gardło. Bałem się poruszyć. Instynkt, nakazujący ostrożność, kazał mi leżeć spokojnie, ale to bydlę chyba zrozumiało, że nastąpiła we mnie jakaś przemiana, gdyż uniosło głowę. Przez rzęsy ujrzałem nad sobą dwoje wielkich płonących oczu gigantycznego wilka. Jego ostre białe kły połyskiwały w rozdziawionym czerwonym pysku i doskonale czułem na sobie gorący oddech, dziki i cierpki.

Przez następną chwilę nie pamiętałem nic. Potem dotarło do mnie niskie warknięcie, po którym nastąpił skowyt, i powtórzył się jeszcze i jeszcze raz. A po chwili, prawdopodobnie z wielkiej odległości, usłyszałem „Halo!” „Halo!” jakby wiele głosów wołało równocześnie. Ostrożnie uniosłem głowę i popatrzyłem w stronę, skąd dobiegały głosy, ale cmentarz przesłonił mi widok. Wilk dalej skowytał w przedziwny sposób, w gaju cyprysowym zaczął się poruszać czerwony blask, jakby postępując za głosem. Kiedy głosy się zbliżyły, wilk zaskowytał szybciej i głośniej. Bałem się nawet drgnąć czy wydać z siebie jakikolwiek dźwięk. Czerwona poświata zbliżyła się, przenikając biały całun rozciągający się dokoła w ciemność. Nagle spoza drzew wyjechał kłusem oddział jeźdźców z pochodniami w rękach. Wilk podniósł się z mojej piersi i odszedł na cmentarz. Zobaczyłem, jak jeden z jeźdźców (byli to żołnierze, sądząc po ich czapkach i długich wojskowych płaszczach) uniósł karabin i zmierzył się. Jego kolega podbił mu ramię i usłyszałem nad głową gwizd kuli. Nie ulegało wątpliwości, że wziął moje ciało za wilka. Inny wypatrzył zwierzę, które zmykało chyłkiem i gruchnął strzał. Potem oddział galopem ruszył przed siebie, niektórzy żołnierze w moim kierunku, inni ścigając wilka znikającego wśród okrytych śniegiem cyprysów.

Kiedy podjechali bliżej, usiłowałem się poruszyć, ale nie miałem ani krzty siły, chociaż słyszałem i widziałem, co się wokół mnie dzieje. Dwóch czy trzech żołnierzy zeskoczyło z koni i uklękło obok. Jeden z nich uniósł moją głowę i przyłożył mi rękę do piersi.

— Dobra jest, koledzy! — zawołał. — Serce jeszcze bije!

Po chwili wlano mi do gardła trochę brandy, dodało mi to wigoru i mogłem już zupełnie otworzyć oczy i rozejrzeć się. Wśród drzew poruszały się światła i cienie i słyszałem, jak ludzie nawołują się nawzajem. Zjechali się w gromadę, wydając pełne przerażenia okrzyki; rozbłysły światła, kiedy podjechali inni, wynurzając się spoza chaotycznie rozrzuconych grobów, jak jacyś opętańcy. Kiedy ci, co byli najdalej, podjechali do nas, otaczający mnie żołnierze zapytali skwapliwie;

— No i co, znaleźliście go?

Padła pośpieszna odpowiedź:

— Nie, nie! Odjeżdżajmy szybko, szybko! W takim miejscu nie należy się zatrzymywać, zwłaszcza w taką noc!

— Co to było? — zabrzmiało pytanie zadawane we wszystkich tonacjach. Odpowiedzi padały różne, wszystkie równie nieokreślone, jakby tymi ludźmi kierował jeden wspólny impuls, by mówić, a równocześnie powstrzymywał ich wspólny lęk, żeby się nie zdradzić z myślami.

— To TO, naprawdę! — powiedział bez zająknięcia jeden, którego koncept w tej chwili wyraźnie się wyczerpał.

— Wilk, a jednak nie wilk! — wtrącił drugi wzdrygając się.

— Nie ma co strzelać do niego, jak się nie ma poświęconej kuli — zauważył trzeci o wiele normalniejszym tonem.

— Dobrze się nam przysłużył, że wyszedł tej nocy! Rzetelnie zarobiliśmy nasze tysiąc marek! — zawołał czwarty.

— Na potrzaskanym marmurze jest krew — powiedział jeszcze inny po chwili milczenia — to nie może być od piorunu. A on, nic mu nie jest? Patrzcie na jego gardło! Koledzy, wilk leżał na nim i ogrzewał go.

Oficer spojrzał na moje gardło i odpowiedział:

— Wszystko w porządku, skóra nie jest przebita. Co to wszystko znaczy? Nigdy byśmy go nie znaleźli, gdyby nie skowyt tego wilka.

— Co się z tym wilkiem stało? — zapytał żołnierz podtrzymujący mi głowę, który wydawał się najmniej spanikowany spośród całego grona; ręce miał pewne, wcale mu się nie trzęsły. Na jego rękawie widniały naszywki podoficera.

— Poszedł do domu — odpowiedział żołnierz o długiej bladej twarzy, który dygotał

wciąż z przerażenia i rozglądał się na wszystkie strony. — Dosyć tu grobów, ma się gdzie położyć. Jedźmy, koledzy, jedźmy szybko! Zostawmy to przeklęte miejsce!

Oficer postawił mnie na nogi, równocześnie wydając słowa komendy; po chwili kilku ludzi włądowało mnie na konia. Oficer wskoczył na siodło za mną, objął mnie ramionami i kazał ruszać. Odwracając twarz od cyprysów odjechaliśmy szybko w wojskowym ordynku.

Język wciąż odmawiał mi posłuszeństwa, więc z konieczności milczałem. Musiałem zapaść w sen, gdyż następną rzeczą, jaką pamiętam, było to, że stoję, z obu stron podtrzymywany przez żołnierzy. Był prawie jasny dzień, na północy, ponad pustą przestrzenią okrytą śniegiem, promieniało czerwone pasemko słonecznego światła jak krwawa ścieżka. Oficer tłumaczył swoim ludziom, żeby nie powtarzali, co widzieli, nic poza tym, że znaleźli jakiegoś Anglika, którego pilnował pies.

— Pies! To nie był pies! — wtrącił się żołnierz, który przejawiał tyle strachu. — Myślę, że poznałbym wilka, kiedy bym go zobaczył.

Młody oficer odparł spokojnie:

— Powiedziałem, że to był pies!

— Pies! — ironicznie powtórzył żołnierz. Widać było wyraźnie, że wraz z ukazaniem się słońca wraca mu odwaga; wskazując na mnie odezwał się: — Spójrzcie na jego gardło. Czy to robota psa?

Instynktownie uniosłem rękę do gardła i kiedy dotknąłem go, krzyknąłem z bólu. Otoczyli mnie żołnierze, żeby mi się przyjrzeć, niektórzy pozsiedali z siodeł. I znowu zabrzmiał łagodny głos młodego oficera:

— Powiedziałem: pies. Jeśli opowiedzielibyśmy coś innego, tylko by nas wyśmiano.

Posadził mnie w siodle za kawalerzystą i wjechaliśmy na przedmieście Monachium. Tu napotkaliśmy jakiś przygodny powóz, wsadzono mnie do niego i ruszyliśmy do „Czterech Pór Roku” — młody oficer towarzyszył mi, jeden z kawalerzystów prowadził jego konia, a reszta żołnierzy pojechała do swoich baraków.

Kiedyśmy się tam zjawili, Herr Delbrück tak szybko zbiegł ze schodów na moje powitanie, że było jasne, iż obserwował z okna ulicę. Ująwszy mnie za obie ręce, troskliwie wprowadził do hotelu. Oficer zasalutował mi i już się odwracał, żeby się wycofać, ale kiedy zdałem sobie sprawę, co zamierza, zacząłem nalegać, by wszedł do moich pokoi. Przy szklance wina gorąco podziękowałem za ocalenie jemu i jego dzielnym towarzyszom. Odpowiedział prosto, że ogromnie się cieszy i że Herr Delbrück zaraz na wstępie zadbał, by cały oddział, który mnie poszukiwał, był zadowolony. Słyszając tę zagadkową wypowiedź maître d'hôtel uśmiechnął się, a oficer powołał się na swoje obowiązki i wyszedł.

— Ale, Herr Delbrück — zapytałem — jak to się stało i dlaczego, że ci żołnierze zaczęli mnie szukać?

Wzruszył ramionami, jakby bagatelizując własny postępek, i odpowiedział:

— Miałem szczęście, że dowódca regimentu, w którym niegdyś służyłem, zgodził się na zwerbowanie ochotników.

— Ale skąd pan wiedział, że się zgubiłem? — zapytałem.

— Przyjechał woźnica ze szczątkami powozu, który się przewrócił, kiedy konie poniosły.

— Ale z pewnością nie był to jedyny powód, dla którego wysłał pan oddział żołnierzy na moje poszukiwanie?

— Och, nie! — odparł. — Jeszcze zanim wrócił woźnica, otrzymałem telegram od bojara, którego jest pan gościem. — I wyjął z kieszeni telegram, który mi wręczył. Przeczytałem: .

Bystrzyca

Proszę mieć pieczę nad moim gościem — jego bezpieczeństwo jest dla mnie bardzo ważne. Gdyby cokolwiek mu się stało lub zaginął, proszę zrobić wszystko, aby go odnaleźć i

zapewnić mu bezpieczeństwo. Jest Anglikiem, a zatem lubi ryzyko. W nocy często mogą zagrażać śnieg i wilki. Jeżeli powźmie pan podejrzenie, że może mu się przydarzyć coś złego, proszę nie tracić ani chwili. Pańską gorliwość sownie wynagrodzę.

Drakula.

Trzymałem telegram w ręce, a cały pokój zdawał się wirować, gdyby troskliwy maître d'hôtel mnie nie podtrzymał, myślę, że byłbym się przewrócił. W tym wszystkim było coś tak dziwnego, tak niesamowitego i nie dającego się zrozumieć, iż zrodziło się we mnie poczucie, że moja osoba stała się igraszką jakichś zwalczających się sił — był to zaledwie domysł, niemniej myśl ta zupełnie mnie sparaliżowała. Nie ulega kwestii, że znajdowałem się pod opieką jakiejś tajemnej siły. Z odległego kraju, dosłownie w ostatnim momencie nadeszła wiadomość, która wybawiła mnie od zamarczenia i paszczeni wilka.

Przełożył Aleksander Bogdański

VINCENT O'SULLIVAN

KONTRAKT RUPERTA ORANGE'A

I

Rzecz niepojęta, iż pamięć o Rupercie Orange'u, którego nazwisko zaledwie przed paru laty było na ustach wszystkich zarówno w Europie, jak i w Ameryce, niemal już wygasła. Nawet w Nowym Jorku, gdzie się urodził i gdzie fakty z jego życia, zagadkowego i tajemniczego, najpowszechniej były dyskutowane, został zapomniany doszczętnie. Niekiedy, co prawda, jakaś leciwa dama wyzna szeptem przy obiedzie, że pewien młody człowiek przypomina jej Ruperta Orange'a, tyle że nie jest tak przystojny, wszelako będzie to dama z gatunku tych, co zwykle epizody ze swej przeszłości pielęgnują nierównie bardziej, niż istotne wydarzenia teraźniejszości. Mężczyźni, którzy go wielbili, którzy naśladowali jego stroje, chód, sposób wymawiania słów, wreszcie jego styl wypowiedzi, spoglądają pustym wzrokiem, kiedy pada jego nazwisko. A gdy onegdaj w powszechnie znanym klubie prowadziłem luźną dyskusję z mężczyzną, którego czarne włosy przyprószyła już siwizna, ten wykrzyknął zniechęca: — Jakże mało słyszy się dziś o Rupercie Orange'u! — dodając: — Ciekaw jestem, cóż się z nim stało? — Co się tyczy pierwszej części tej wypowiedzi, to roztropnie trzymałem usta na kłódkę; jak bowiem mógłbym zaprzeczyć jego twierdzeniu, skoro sam niedawno widziałem zarośnięty chwastem grób, na którym wczesny mech wrastał w litery wyryte na nagrobku? Co się zaś tyczy drugiej części, to do mnie teraz należy udzielenie odpowiedzi na to pytanie; a mniemam, że kiedy już ogień zapłonie, rozjaśni pewne wspomnienia, okryte mrokiem tajemnicy. Ludzi, którzy nie słyszeli nigdy historii Ruperta Orange'a, jest oczywiście bez liku, istnieją jednakże rzesze mężczyzn i kobiet, którzy jego pełne blasku życie śledzili z olbrzymim zainteresowaniem, jego zaś haniebna śmierć pozostanie w pamięci niejednego.

Z przypadkiem tym zapoznałem się ponad rok temu; opisałem go już wówczas, gdybym tylko miał wolne ręce. Niedawno jednak zmarła w Wiedniu hrabina de Volnay, której głośny związek z Orange'em był swego czasu tematem plotek zgoła wszystkich. Ją spotkałem dwa lata wcześniej, w Paryżu, gdzie żyła niczym robotnica. Dowiedziałem się, że sprzedawała

swój dom, a całe dobra rozdała biednym. Jej wielka uroda przybladła, ale nadal była niezwykłą kobietą, nawet pomimo niespokojnego, trwogą napiętnowanego stylu bycia, nasuwającego potworną myśl, że ona wiecznie czuje, jak diabeł zagląda jej przez ramię. Włosy miała białe jak śnieg, a przecież daleko jej było jeszcze do wieku, w którym kobiety przestają się uśmiechać na balach. Zdawało się, że na jej twarz wstąpił bezmierny strach i zastygł tam jak sparaliżowany; strach, który dawał się wyczuć w jej drżącym głosie. Ona to właśnie zaznajomiła mnie z niektórymi podstawowymi faktami tej opowieści, ale żądała ode mnie, abym ich nie publikował, dopóki nie usłyszę o jej śmierci — tak jak skazany na szubienicę prosi niekiedy kata, by nie zaciskał pętli nazbyt mocno. Jestem absolutnie pewien, że tego, co sam Orange jej wyznał, nigdy nie zdradził nikomu innemu. Żałuję, że w miejsce mojego niewprawnego pióra nie mogę przytoczyć jej żywej relacji, wówczas bowiem nie pisałbym tego sprawozdania, bez wątpienia niezdarne i nieudolnie, daremnie, obawiam się, usiłując przekazać morał.

A więc do dwudziestego czwartego roku życia Rupert Orange mieszkał razem z ciotką w Nowym Jorku, a kiedy umarła, zapisując mu cały swój majątek, rozgorzał zaciekle spór o testament. Pierwsze skrzypce w tym sporze grała pani Annice, żona wydziedziczonego bratanika; prowadziła ona proces z wytrwałością i zjadliwością, jakże często spotykaną u kobiet trzydziestoletnich. Okazała się prawniczką tak dobrą, że pospołu z mężem z ubóstwa doszła nagle do wielkiej majątności, sąd bowiem orzekł, że starsza pani zmarła w obłądnie, że wywierano na nią sprzeczny z prawem wpływ i że testament jest skutkiem tego nieważny. Orzeczenie to, które ich wydzwignęło, Ruperta strąciło na samo dno. Nie ma gorszego upadku nad upadek człowieka bogatego na dno nędzy; Rupert zaś, lata całe chowany w luksusie, doznał takiego właśnie upadku. Miał jednak energię i pewność siebie właściwe młodości. Jego drobne wiersze i sonety chwalono, kiedy był amatorem — teraz postanowił piórem zarabiać na chleb... ze skutkiem jak najgorszym. Z początku nie odpowiadało mu nic, tylko największe czasopisma, z których, tydzień po tygodniu, odsyłano mu jego naprawdę celne artykuły, załączając zimne słowa odmowy. Później miesiącami wysiadywał w redakcjach podrzędnych gazet, czekając na redaktorów. Gdy wreszcie redaktor się pojawiał, zazwyczaj oświadczał Rupertowi, że całą zaległą robotę obiecał już jakiemuś znajomkowi z baru. I tak, cios za ciosem, Rupert został rzucony na kolana, aż w końcu nie miał nawet śmiałości wychodzić z domu przed zmierzchem, w obawie, że ktoś, kto go znał w czasach dobrobytu, mógłby stać się świadkiem jego ubóstwa.

Pewnego dnia, na początku grudnia, około szóstej wieczorem, wyszedł z nędznej czynszowej kamienicy położonej w zachodniej części miasta, w której zajmował jeden pokój, i ruszył (jak to mówią w Nowym Jorku) „w górę miasta”. Na przymy zamrażniętego śniegu padał blask gazowych latarni — ciepły w pojęciu człowieka, który już od miesięcy nie oglądał kominka. Gdy dotarł do Pięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy, skręcił na wschód, okrążając Central Park, aż doszedł do Piątej Alei. Nagły kaprys kazał mu ruszyć ulicą, od której wstyd i duma trzymały go z dala od czasu upadku. Nie uszedł daleko, gdy zaczepił go jakiś stary człowiek.

— Mógłby mi pan powiedzieć — zagadnął starzec uprzejmie — czy ta ulica biegnie dalej, niż sięga Central Park?

— Ależ tak — odrzekł Rupert schrypniętym głosem; już całe pięć dni nie odezwał się do nikogo i ślina zebrała mu się w gardle. — Ta aleja biegnie bardzo daleko.

— Wybacz pan, że tak pytam. — ciągnął stary. — Jestem w tym mieście tylko przejazdem i chciałbym się dowiedzieć o nim jak najwięcej.

— Do usług — powiedział Orange. — Oto — dodał wskazując palcem. — jest szpital Świątego Łukasza.

Zamienili jeszcze zdań kilka, a kiedy nieznajomy skierował się ku centrum, Rupert podążył za nim. Postąpił tak częściowo dlatego, że spragniony był towarzystwa, a częściowo powodowany niejasnym uczuciem, że dalekie znajomości i ktoś całkiem nawet obcy w każdej

chwili mogą przynieść szczęście. Kiedy tak szli aleją, Orange odwrócił się, by przyjrzeć się swemu towarzyszowi: Porywisty wicher zarzucił starcowi na ramiona jego długą brodę i zwichrzył mu białe włosy pod miękkim kapeluszem. Ubranie jego było proste, nawet podniszczone, miał także osobliwy zwyczaj stawiania kroków bez zginania kolan, zupełnie jak gdyby w miejsce nóg miał dwa kije od miotły. Orange pomyślał (z jakąż goryczą), jak niedawne były dni, kiedy wolałby zażyć truciznę, niż przejść się Piątą Aleją w takim towarzystwie. A teraz byli równi; choć prawdę mówiąc, to starzec prezentował się lepiej, nosił bowiem buty o niebywale szerokich noskach, gdy tymczasem Orange wciąż musiał przytupywać, by ziąb nie wdzierał się przez jego zużyte trzewiki; Cóż znaczyła dla niego krytyka eleganckiego, dobrze odkarmionego „towarzystwa”, teraz gdy liczni przedstawiciele znacznie większej społeczności, do której i on już należał, przymierali głodem na poddaszach! Kiedy tak nad tym rozmyślał, na ulicę wysypał się tłum gości, wychodzących z popołudniowego przyjęcia. Jakiś młody człowiek i dziewczyna, którzy znali Ruperta w dniach jego powodzenia, ruszyli w ich stronę, zerkając z pogardą na dwóch obdartych przechodniów. Na twarzy Ruperta nie drgnął żaden mięsień; pozwolił on sobie nawet na szyderczy uśmiech pod adresem tej dwójki.

Para wędrowców dotarła do Trzydziestej Czwartej Ulicy i skręciła w Broadway. Zapadło między nimi j milczenie, i w milczeniu paradowali po arterii. Tu królowały jaskrawe światła i blichtr; powozy przemykały tam i z powrotem, restauracje były przepełnione, teatry oświetlone, kobiety uśmiechnięte — wszystko świadczyło, że wielkie miasto zaczyna noc rozkoszy. Poza umiłowaniem wszelkich rozkoszy, co było jego cechą podstawową, Orange był wyraźnie towarzyski, a widok tej radości, którą sam niegdyś się upajał, niczym sztylet wbił się w zgłodniałe, samotne jego serce. Pomyślał wtedy, że oddałby własną duszę, by zdobyć choć trochę pieniędzy.

— Wszyscy ci ludzie sprawiają wrażenie szczęśliwych — odezwał się starzec znienacka.

— O, tak — odparł Orange. — Oni są szczęśliwi!

Stary człowiek pojął odpowiedź i wyczuł w niej nutę goryczy. Podniósł szybko wzrok i ujrzał, że oczy Ruperta były pełne łez.

— Cóż to, człowieku! — zakrzyknął. — Widzi mi się, że płaczesz!... A może jest ci zimno?! Pójdź ze mną, pójdźmy wprost do „Zajazdu Hoffmana”! — mówił dalej, ciągnąc Ruperta za płaszcz.

Rupert zawahał się. Wrażliwość człowieka, który nigdy nie przyjął przysługi, jakiej nie mógł odwzajemnić, powstrzymywała go. Lecz pragnienie ciepła i zrozumienia przemogło, toteż wszedł do środka. Bar, jak zwykle, obleżony był przez tłum nierobów, a ci, co go tworzyli, spojrzeli szyderczo na wyświecony płaszcz Orange'a i jego zżarte przez czas spodnie. Wierście mi, że człowiek w lachmanach nie sprawia wrażenia tak żalosego, jak biedak, co usiłuje zachować wygląd dżentelmena i nocami wciera atrament w szwy, które za dnia bielegają, palce zaciska w pięści, iżby nie pokazywać dziur w rękawiczkach, i chodzi z rękami splecionymi na piersi w obawie, że płaszcz mógłby się rozchylić, ukazując brak guzików. Nawet kelnerzy popatrzyli na Orange'a z lekceważeniem; a drwiny kelnerów czy innych fagasów są najbardziej bolesne. Wszelako starzec, nie bacząc na nic, siadł przy stole i zamówił butelkę szampana. Gdy podano wino, przez czas jakiś siedzieli w zadumie. Aż nagle, znienacka, siwobrody wybuchnął:

— Bogactwo! — krzyknął, wpatrując się w oczy Ruperta. — Bogactwo to jedyna rzecz, do jakiej warto dążyć na tym świecie! Wasi domorośli filozofowie mogą się z tego naśmiewać, śmieją się jednak po to tylko, by nie dopuścić do siebie toczącej zazdrości i pragnień, które są bardziej gorzkie od ich niedostatku. Niechby do tego hotelu wszedł dzisiaj ktoś, kogo zwiecie geniuszem, i niechby w tej samej chwili wszedł tutaj milioner, to idę o zakład, że to milioner przyciągnie uwagę wszystkich! Milioner objeżdża cały świat i wszędzie napotyka szacunek... czemuż to? Bo go kupuje! Tak w dziewiętnastym wieku zdobywa się szacunek —

kupuje się go! Czyż znakomite dzieła sztuki, sprzedawane każdego roku, trafiają do biedaków, którzy je podziwiają? Nie, panie, trafiają do tego, kto ma pieniądze i kto da cenę najwyższą. Powtarzam ci, mój młody przyjacielu, jedynie to, co się mieści tutaj — poklepał się po kieszeni — ma znaczenie w walce o byt.

— Zgadzą się z panem — odpowiedział Orange — że pieniądze znaczą bardzo wiele.

— Bardzo wiele! — powtórzył tamten z pogardą, zapewne nieco rozgrzany winem. — Bardzo wiele! A cóż możesz zaoferować w ich miejsce? Religię? Wszakże pastorzy to pasożyty bogaczy. Sztukę? Zajdź jutro do pracowni któregoś z twoich przyjaciół i zważ, do kogo przemówi pierwaj — do ciebie czy do człowieka z czekiem w rękę. Więcej, gdyby jakiś nędzarz miał umysł Szekspira czy naszego Emersona i został obryzgan błotem przez powóz zamożnej damy, to jedyną odpowiedzią na jego skargi byłoby „jazda stąd!” od policjanta!

— Wiem o tym! Ja wiem! — wykrzyknął Orange w udręce. — Wiem o tym pięćdziesiąt razy lepiej od ciebie! Powiadam ci, zaprzedałbym całe me życie za jeden rok wspaniałego otoczenia bogaczy.

— Nie jeden rok — rzekł siwobrody pochylając się nad stołem i mówiąc tak żywo, że Rupert ledwie za nim nadązał. Stara jego twarz powlekła się upiorną bladością i wydawała się sina w kontraście z bielą jego włosów. — Nie jeden rok, mój chłopcze, ale pięć lat! Pomyśl, pomyśl tylko, jakże to wspaniałe! Dziś wieczór wzgardzony biedak, jutro człowiek bogaty! Zbierz odwagę, zdecyduj się oddać swe życie jak pięć lat upłynie, a ja ci ze swej strony przyrzekam, gwarantuję, że jutro rano twoja pozycja finansowa będzie tak mocna, jak nikogo innego w Nowym Jorku.

Otóż jest to zadziwiające, że oburzająca ta propozycja, złożona w barze hotelu, mieszczącego się w jednym z najbardziej prozaicznych miast świata, wcale Rupertowi nie wydała się niedorzeczna. Zapewne z racji mistycznej, marzycielskiej duszy, nie przeszło mu zgoła przez myśl powątpiewać w szczerłość rozmówcy, lecz od razu zaczął zestawiać wady i korzyści tego planu.

Pięć lat! Przed jego młodymi oczyma rozciągały się niczym lat pięćdziesiąt. Nie przyszło mu do głowy (jak zwykle ludziom młodym), spojrzeć wstecz na ostatnie pięć lat i zauważyć, że nieliczne i szybkie kroki przywiodły go do obecnego stanu. Pięć lat! Rozpościerały się przed nim, rozsrebrzone słońcem, kiedy patrzył z obecnej swej biedy i mroku. Oto był jego punkt widzenia, a osądzając Ruperta, nigdy o tym nie zapominajmy. Gdyby problem ten postawić przed człowiekiem zamożnym, bez wątpienia nie poświęciłby mu nawet chwili, jednakże zapach gotowania zdaje się niemiły tylko najedzonym. Dla Ruperta w tym momencie pieniądze znaczyły tyle co cały świat. Był człowiekiem, który nienawidził stawiać czoła przeciwnościom życia; pieniądze zaś uwalniały go od natrętnych wierzycieli, od drwin i zniewag, od małego, zimnego, mrocznego pokoiku i — ponad wszystko! — od koszmaru, do którego zbliżał się coraz bardziej; od więzienia.

— Jeszcze jedno wypada nadmienić — zauważył gładko starzec. — Pomijając już taką ewentualność, że zembrzesz z głodu — co, mówiąc nawiasem, uważam za nader prawdopodobne — zawsze istnieje ryzyko, że przejedzie cię jakiś wóz, gdy wyjdiesz z tego hotelu. Jest rzeczą równie możliwą, że nabawisz się w zimie jakiejś choroby. Jak by ci się podobało umierać w nędznym szpitalu, gdzie pielęgniarki ze śpiewem na ustach zamykają oczy zmarłego? Otóż ja proponuję ci, że przez pięć lat nie zaznasz żadnego bólu fizycznego.

— Gdybym na to przystał — powiedział Orange, obracając kieliszkiem, aż wino spieniło się i zburzyło — to życzyłbym sobie czasem jakiejś lekkiej choroby, by poznać całą słodycz życia. — Myślał zapewne, że gdy nadejdzie jego czas, będzie się wzbraniał przed śmiercią.

Znów się zamyślił. Był niczym człowiek, który zjawiwszy się nagle w górskiej wiosce w dzień Przenajświętszego Sakramentu przechadza się po ulicy, oczarowany krzykliwymi dekoracjami i girlandami na domach, zapominając obejrzeć się na straszliwą górę, wznoszącą

się na tle nieba, której szczyt spowijają chmury wróżące burzę. Przed oczyma Orange'a defilowały radosne, kuszące wizje. Pomyślał o podróżach, które mógłby odbyć, o luksusowych pałacach, wystawnych bankietach, bezcennych winach, o roześmianych, ekstatycznych kobietach. Pomyślał także — ponieważ był nie tylko zmysłowym człowiekiem — o rzadkich klejnotach, jakie mógłby nabyć, o wykwintnych oprawach książek. Jednakże najśłodsze były myśli, że miałby pełną swobodę spełnienia tego, co w nim najlepsze, oraz że byłby dość potężny, by móc wyrzucić zemstę na swych wrogach powoli, krok po kroku. Wtedy to, jak huk wystrzału z karabinu, naszło go wspomnienie pani Annice. Zerwał się na równe nogi.

— Słuchaj! — zakrzyknął takim tonem, że wałkonie przy barze odwrócili się na moment, wszelako stwierdziwszy, że nie szykuje się żadna burda, co by ich mogła zabawić, powrócili do picia. — Słuchaj! — krzyknął znów Rupert Orange jedną dłonią ściskając brzeg stołu, a drugą celując chwiejnie w starca. — Mieszka w tym mieście kobieta, która przywiodła mnie do hańby, jakiej jesteś świadkiem. Rzuciła mnie na ziemię, zmiażdżyła! Oddaj mi ją, bym mógł złamać jej dumę! Niech ujrzę ją upodloną i zhańbioną, jak najgorszą ulicznicę, a klnę się na Boga, że dobijemy targu!

Starzec pochwycił zimną dłoń Ruperta i ścisnął ją swymi gorączkowo rozpalonymi rękami.

— Szczególny gust — mruknął wpatrując się w oczy Ruperta i uśmiechając się nieznacznie.

II

Z radością w sercu Orange skierował się „w górę miasta”. Dziwne, lecz nie żywił najmniejszych wątpliwości co do prawdziwości kontraktu, jako też nie czuł najlżejszego żalu z powodu swego uczynku. Tej nocy zniewagi i kose spojrzenia niewiele znaczyły: jutro mężczyźni i kobiety z radością będą się tłoczyć i płaszczyć wokół niego. Był tak szczęśliwy, krew tak żywo pulsowała w jego żyłach, że biegiem przebył całe trzy lub cztery przecznice; raz nawet wybuchnął głośnym śmiechem, na co jakiś policjant pogroził mu pałką. Ale to go tylko uradowało jeszcze bardziej — jutro, jeśli zechce, będzie mógł się śmiać spacerując od Central Parku po Madison Square, a nikt go nie upomni.

Gdy dotarł do nędznej czynszówki w zachodniej dzielnicy, przed wejściem, jak zwykle, nie paliło się światło, i dojrzał, jak listonosz po omacku czegoś szuka.

— Halo, młodzieńcze! — odezwał się listonosz. — Wiesz może, czy w tym zakazanym domu nie gnieździ się ktoś o nazwisku Orange?

— To ja — odparł Rupert Orange, wyciągając rękę po list.

— Tak, jasne! — odrzekł listonosz ironicznie. — No już, przestań się zgrywać i pokaż skrzynkę.

Rupert wskazał mu właściwe miejsce, i gdy tylko listonosz wrzucił list, wydobyl swój klucz i — ku zdziwieniu listonosza — otworzył skrzynkę i schował list do kieszeni.

— No cóż! Widzi pan, moim obowiązkiem jest doręczanie listów, a nie rozdawanie — rzekł listonosz, przybierając styl urzędowy. — Jak pan powiedział, że chodzi o pana, to skąd mogłem wiedzieć, czy mnie pan nie nabiera?

— Och, nie ma o czym mówić — odpowiedział Rupert. — Dobrej nocy, przyjacielu.

Wszedł na górę do swego lodowatego pokoiku i usiadł, by pomyśleć. Nie otworzył jeszcze tego listu: zbyt wiele myśli kłębiło się w głowie, by mógł przyjmować nowe wzruszenia. Spędził przeto dwie godziny zatopiony w olśniewających, fantastycznych marzeniach. Wreszcie rozerwał kopertę. Biedny był tak bardzo, że odcięto dopływ gazu do jego pokoju, ale w świetle zapałki przeczytał zawiadomienie od panów Drolla i Kettela, prawników, stwierdzające, że pewien daleki jego krewny zmarł niedawno w jakimś mieście, w którymś z

południowych stanów, zapisując mu majątek w wysokości niemal miliona dolarów. Rupert wiedział jednak, że milion ten jest tylko symboliczny, że pieniądze będą się go trzymać, dopóki będzie panem swego życia.

Sprzątaczką, która następnego ranka weszła do jego pokoju, zastała go śpiącego na krześle, z otwartym listem na kolanach i twarzą rozjaśnioną uśmiechem. Jednakże był on tylko biedakiem, zalegającym z czynszem, przeto dźgnęła go miotłą boleśnie między łopatki.

— Zdaje się, że zasnąłem — rzekł Rupert, zrywając się i przecierając oczy. Kobieta spojrzała na niego gorzko, myśląc, że następnym razem będzie się musiał przespać w jakimś parku. Zaczęła zmiatać kurz w jego stronę, aż zakaszłał gwałtownie.

— Odkąd się tu sprowadziłem, była pani dla mnie bardzo dobra, pani Spill — ciągnął Rupert, jak sądzę bez ironii: ironia była mu obca. Z kieszeni wyciągnął ostatni banknot pięciodolarowy, jaki miał przy duszy, i wręczył go jej. — Proszę to przyjąć za fatygę.

Kobieta zagapiła się na niego, jak gdyby na jej oczach poderznął sobie gardło. Lecz Orange tylko nacisnął kapelusz i wybiegł. Nic posiadał już nawet pięciu centów na przejazd tramwajem konnym do centrum, na piechotę przebył więc drogę do kancelarii spółki Droll i Kettel na Pine Street. Podszedł do grubego urzędnika (który, przystrojony wątpliwej autentyczności biżuterią, wyglądał, jakby czynił zaszczyt kancelarii przez sam fakt, że się w niej znajdował) i spytał, czy zastał pana Kettela. W tym miejscu warto zauważyć, że wielokrotnie zadawałem pytania ludziom pracującym nad trudnymi tekstami, malującym obrazy czy piszącym powieści, a każdy z nich potrafił natychmiast oderwać się od swej pracy; z drugiej zaś strony od ciebie się wymaga, byś czekał na widzimi się urzędnika, póki nie skończy zaprzatającej go roboty. Będąc typowym przedstawicielem swego zawodu, grubas przetrzymał stojącego przed nim Ruperta niemal przez trzy minuty, aż kunsztownie zakończył przepisywanie kopii spraw do załatwienia; potem zaś, podnosząc wzrok i widząc tylko jakiegoś obdartusa, zapytał ostro:

— He? Co pan mówisz?

Rupert powtórzył pytanie.

— Tak, sądzę, że jest u siebie, ale dziś ma pracowity dzień. Siądź sobie o tam, młody człowieku, a on cię przyjmie, jak się ze wszystkim upora.

Brutalne ciosy, które spadły na Ruperta w trakcie jego walki ze światem, odebrały mu całą pewność siebie, idącą w parze z bogactwem; siedział więc tam przez pół godziny, wiedząc dobrze, że jego ubiór był przyczyną uśmieszków niewychowanych i niewyszkolonych urzędników. W końcu, trochę nieśmiało, podszedł ponownie do biurka.

— Być może, gdyby pan był tak uprzejmy podać panu Kettelowi moje nazwisko...

— Słuchaj no, męczysz mnie pan! — krzyknął gruby urzędnik, poirytowany. — Mówiłem chyba, że jest zajęty? Jazda, nie chcę cię więcej oglądać przy tym biurku! Nie chcesz czekać, to już, spacer ci dobrze zrobi!... Ten młody człowiek mówi, że chce się z panem widzieć — dorzucił, widząc, że pan Kettel wyszedł ze swego prywatnego gabinetu.

— Słucham sir, czego pan sobie życzy? — zapytał pan Kettel z obraźliwą miną i tonem, jakie w pojęciu niektórych wykołajeńców powinny wyrzeć na rozmówcy wrażenie, że tak się zachowują ludzie wielkich interesów. — Może jednak wpadnie pan innym razem, nie dajemy rady zajmować się... — ciągnął, lecz nagle bacznie się przyjrzał twarzy Ruperta i jego zachowanie zmieniło się w ciągu sekundy. — Ależ jak się masz, drogi chłopcze! Nie widzieliśmy się od tak dawna, że cię z początku nie poznałem. Jakże się zmieniłeś! — kontynuował, nie mogąc się powstrzymać, by nie rzucić okiem na obszarpany strój Ruperta był to bowiem człowiek niegodziwy. Lecz ta uwaga nawet jemu samemu wydała się w wątpliwym guście, toteż zakrzyknął serdecznie: — Wejdz, proszę, do mojego prywatnego gabinetu, utniemy sobie dłuższą pogawędkę! — I, mając za sobą Ruperta, wszedł do środka, pozostawiając grubego urzędnika w osłupieniu.

Nim minął tydzień, Rupert ponownie objął się po klubach i bywał na wszelkich impre-

zach towarzyskich, składających się na tak zwany sezon. Lecz przede wszystkim wysłuchiwał przerażającej różnorodności pełnych skruchy kłamstw. Przeciętnemu mężczyźnie, mówiącemu: — Nie mieliśmy bladego pojęcia, kiedy wracasz z Europy, stary, mów, jak ci tam było? — mógł odpowiadać z powagą na twarzy, jednakże kobiety były inne. Pewnego popołudnia, bawiąc na przyjęciu, usłyszał, jak jakaś dama obok niego rzekła głośno do swego przyjaciela: — Nawet sobie nie wyobrażasz, jak strasznie nam brakowało kochanego pana Orange'a, kiedy był w Afryce! — co Rupertowi wydało się tak groteskowe, że wybuchnął głośnym śmiechem. Atoli pośród tych stosunków towarzyskich starannie unikał spotkania z panią Annice; postanowił, że nie spotka się z nią jeszcze przez czas jakiś. I faktycznie, dopiero pewnego wieczoru, pod koniec lutego, po obiedzie, zajechał dorożką pod jej dom nie opodal Washington Square. Zastał ją w domu i nie musiał czekać nawet minuty, nim weszła do pokoju. Była kobietą wysoką, zdumiewająco piękną w świetle lamp, miała jednakże ów męczący nawyk, który ma wiele kobiet, mówienia z naciskiem — jak gdyby rozstrzelonym drukiem; nawyk spotykany zazwyczaj u kobiet źle wychowanych, kobiet, które nie kontrolują swych uczuć i nie panują nad wyrażaniem ich.

— Kochany, kochany Rupercie, jakże się cieszę, że cię widzę! — wykrzyknęła, zrzucając z gołych ramion biały, puszysty płaszcz, i wyciągając obie ręce sunęła w jego stronę. — To już tak długo, że naprawdę myślałam, że nigdy więcej cię nie ujrzemy. Ale tak, bardzo się cieszę. I jakże szczęśliwie trafił ci się ten spadek... akurat wtedy, gdy jak przypuszczam, straszliwie ciężko pracowałeś. Kiedy się o tym dowiedziałam, byłam wręcz zachwycona, tak jak mój mąż. Ucieszyłby się bardzo ze spotkania z tobą, ale niestety dziś wieczór je kolację na mieście.

W tym wszystkim zbyt silnie pobrzmiwała nuta hipokryzji, którą Rupert w pełni uwzględnił. We właściwy sobie, swobodny sposób gawędził o swym szczęśliwym losie, podając nieco szczegółów.

— Przypuszczam, że nie istnieje najmniejsza możliwość jakiejś luki w testamencie? — powiada pani Annice, przypatrując mu się przenikliwie. Linie wokół jej ust stwardniały, lecz uśmiechała się nadal; miała w sobie coś z żony Makbeta.

Orange wybuchnął swym promiennym, radosnym śmiechem, któremu niewielu było w stanie się oprzeć.

— Oh nie, myślę, że tym razem wszystko jest w najlepszym porządku! — odparł i spojrzał na nią nieugiętym wzrokiem swymi wspaniałymi oczyma.

Pani Annice zarumieniła się nagle, polem zadrzała. Serce jej zaczęło bić gwałtownie, zakręciło jej się w głowie. Cóż się z nią działo? Czym było to przekłete uczucie, które ją owładnęło? Ona, tak zrównoważona, tak poważna i wyrachowana, w mgnieniu oka zapalała uczuciem ku temu mężczyźnie, którego zaledwie przed chwilą nienawidziła bardziej niż kogokolwiek na świecie, uczuciem, jakiego nigdy dotąd nie żywiła wobec żadnego mężczyzny. Nie była to miłość, owo jarzmo fatalne, nie był to nawet podziw, było to dzikie pragnienie, by wyrzec się siebie samej, unicestwić się w osobowości tego człowieka, by stać się jego więźniem, niewolnicą jego nadrzędnej woli. Wbiła paznokcie w dłonie i zagryzła wargi, powstając i rozpaczliwie usiłując odnieść zwycięstwo.

— Wybierałam się właśnie do opery, kiedy wszedłeś, Rupercie — powiedziała. — Przyjdiesz do mojej łóżki? — Jej głos zmienił się tak bardzo, brzmiała w nim nuta takiej czułości i pożądania, że wyglądało to, jak gdyby odsłoniła swą duszę. A jednak nawet w stanie takiego rozprężenia była świadoma, że pojawienie się w operze w towarzystwie nowego wcielenia Ruperta będzie wyraźnym wyróżnieniem.

Rupert mruknął coś na temat tego, jak nudna jest opera, i w tejże chwili lokaj oznajmił, że powóz zajechał.

— Nie pójdziesz? — zapytała pani Annice, wsparta białą dłonią na oparciu fotela.

— Raczej nie — odparł Rupert z uśmiechem.

Odprawiła powóz. Gdy tylko służący wyszedł, spróbowała rzucić jakąś trywialną uwagę, a odwracając się spojrzała na Ruperta, który powstał. Przez chwilę oboje wpatrywali się nawzajem w swe oczy z Bóg wie jakimi uczuciami w sercu, po czym szlochając cicho, łkając niemal, zarzuciła mu ręce na szyję, obsypując jego wargi pocałunkami.

III

Wczoraj po południu wyciągnąłem spośród moich książek powieść Ruperta Orange'a i przewracając kartki zadumałem się nad tym, jak ciężko jest dziś zdobyć jakiegokolwiek jego prace, choć jeszcze przed kilku laty zaczytywał się nimi cały świat; ogarnęło mnie także zdziwienie z powodu naszego niegdyś entuzjastycznego, zapalonego podziwu dla jego kunsztu pisarskiego, jego dowcipu, jego patosu. Prawdę rzekłszy, jego proza jak na mój obecny gust jest całkiem pozbawiona smaku, dowcip jest raczej oklepany, a patos nieco wulgarny. Podobnie i z jego poezji uleciał cały urok — nawet jego „Śpiew rozszalałej wiedźmy”, który dawniej uważaliśmy za tak melodyjny i dźwięczny, teraz już nas nie zadowala. Aby dokładnie wyjaśnić, jaki efekt wywiera na mnie jego poezja, zmuszony jestem odwołać się do niezbyt chyba szczęśliwej metafory, że poezja jego działa na mnie jak przesiane popioły! Nie mogę w żaden sposób wyjaśnić tej przenośni, jeśli zaś czytelnikowi nie daje ona żadnego wyobrażenia, to obawiam się, iż niepowodzenie należy przypisać mej nieudolności w posługiwaniu się piórem. A przecież jakże wysławialiśmy te prace Ruperta Orange'a! Jak skwapliwie wypatrywaliśmy ich ukazania się, jakimi obsypywaliśmy je nagrodami, z jakim zapałem przeglądaliśmy gazety w poszukiwaniu szczegółów z jego interesującego, pomyślnego życia!

Nie wypadaloby mi zdawać szczegółowo sprawy z tego olśniewającego, pomyślnego życia, nawet gdybym miał taki zamysł; to nie w celu zrelacjonowania jego towarzyskich i literackich triumfów, jego pasma nieprzerwanych w ciągu pięciu lat zwycięstw, na dwóch polach, które zdecydował się opanować, sięgnąłem po pióro. Wszelako zastanawiając się nad jego życiem nie wolno nam zapominać o tych triumfach. Były to triumfy nader rzadkie, nader szczone i nader cenne, odnoszone tak w Europie, jak w Stanach Zjednoczonych, triumfy, jakie bywają udziałem tylko nielicznych, dostatecznie potężne, by — z wyjątkiem trzech smutnych wypadków — przytępić blade myśli o dziwnych granicach jego życia.

Miało to miejsce pierwszego wieczoru w nowej operze w Covent Garden. Orange siedział w łoży w znakomitym towarzystwie i właśnie nachylał się, by szepnąć coś zabawnego pięknej hrabinie Heston, gdy wtem zbladł, a uśmiech zniknął z jego twarzy, jak gdyby otrzymał policzek. Na scenie chór cichym głosem rozpoczął żarliwy hymn błagalny; stopniowo rozbrzmiewał coraz to głośniej i głośniej, aż wybuchnął strasliwą, udręczoną modlitwą o litość i przebaczenie. Orange słuchał, a tak posępne poczucie ulotności życia, tak okropny strach przed śmiercią przemknęły przez jego mózg, że poczuł mdłości i zadrzał, zlany zimnym potem.

— Spójrzcie, obawiam się, że pan Orange jest chory! — krzyknęła hrabina.

— Nie, nie! — mruknął Orange, sięgając po kapelusz. — To tylko lekkie omdlenie, potrzebuję powietrza!... Mówię wam, potrzebuję powietrza! — wybuchnął głosem przypominającym krzyk strachu, mocując się z drzwiami łoży.

Jakiś człowiek o dobrym sercu wyszedł za nim do foyer.

— Mogę coś dla ciebie zrobić, przyjacielu?

— Tak, na litość boską, zostaw mnie w spokoju! - odparł Orange, a wyrzekł to takim tonem i z twarzą tak straszliwie wykrzywioną, że stojący w pobliżu odstępili, czując się nieswojo, pytający zaś powrócił z powagą do łoży i resztę wieczoru spędził zatopiony w myślach.

Lecz Orange wybiegł z opery, przywołał dwukólkę i jechał, dopóki woźnica nie odmó-

wił dalszej jazdy, potem spacerował, i dopiero gdy następnego dnia, o wpół do dwunastej, znalazł się na Putney Heath w wieczorowym stroju, opuściły go biesy.

Mniej więcej dwa lata po tym wydarzeniu przechadzał się pewnego niedzielnego wieczoru po Chelsea i słysząc dzwon kościelny, wzywający na zwyczajowe nabożeństwo, postanowił tam pójść. Kiedy siedział, czekając, jakaś cztero- lub pięcioletnia dziewczynka weszła wraz z matką i usiadła obok niego. Rupert rozmawiał z dzieckiem w swój oryginalny, ujmujący sposób, i tak je oczarował, że kiedy nabożeństwo się zaczęło, dziewczynka wciąż trzymała go kurczowo za rękę. Wkrótce rozpoczęło się kazanie, a kaznodzieja, wybierając jako temat słowa: „I umarł” z piątego rozdziału Księgi Rodzaju, starał się dowieść, jak nagła i przykra była śmierć nawet dla długowiecznych patriarchów i że dla większości z nas jest ona znacznie bardziej nagła i przykra. Kazanie, jak przypuszczam, było nudne i oklepane, gdyby jednak mówca zaprawdę wejrzał w umysł jednego ze swych słuchaczy, efekt nie mógłby być bardziej katastrofalny. Orange poczekał, aż męczarnia stała się nie do zniesienia, aż dosłownie czuł straszny, duszący ciężar ziemi, przygniatający go w trumnie i zatrzymujący tam na wieki wieków; poderwał się wtedy z ciężkim jękiem i rzucił przed siebie tak gwałtownie, że przewrócił i podeptał dziewczynkę, spiesząc się, by zejść z oczu poblądnym ludziom, wystraszonemu jego własną twarzą, a smutny płacz dziecka ścigał go na ciemnej ulicy.

Trzecim razem owo poczucie rozpacz i zguby opanowało go wówczas, gdy znalazł się na urwistym wybrzeżu. Któregoś dnia wybrał się konno podczas burzy na pewien cypel i nagle roztoczył się przed nim widok pełnego morza. Kiedy tak stał, obserwując samotną mewę, która wysilała się, pikowała i nurkowała w falach, podczas gdy deszcz siąpił, a wiatr zawodził w wysokich trawach, uderzyła go błahość życia, i ukrywszy twarz w końskiej grzywie, zaszlochał.

Jednakże najbardziej bolała go myśl, że sam mógł zdobyć jakąś sławę, dojść do ła-twego majątku, nie obarczając się brzemieniem, które z każdym miesiącem stawało się coraz cięższe. Wiedział, że pewne jego osiągnięcia niewątpliwie przyniosłyby mu uznanie, gdyby trochę poczekał. Czemuż nie miałeś cierpliwości? — zdawała się jęczeć jego urażona dusza i okaleczone życie, trochę więcej cierpliwości!

Nie mogę jednakże pozwolić, abyście myśleli, że był nieszczęśliwy. W każdym szczególe obietnica starca była skrupulatnie realizowana. Wszelkie choroby, których sobie Orange zyczył, obróciły się na jego korzyść. Dzięki temu, leżąc ze zwichniętą kostką w hotelu w Ailles-Bains, zawarł swój głośny związek z Gabriellą de Volnay. To wówczas, gdy przeziębienie zatrzymało go na jeden dzień w domu, napisał swą małą komedię „Obiad u jaśnie pani” — komedię, którą swego czasu wszyscyśmy tak chętnie wychwalali. A tej nocy, gdy jego powóz wyrócił się na Szóstej Alei w Nowym Jorku, a on sam został poważnie ranny w głowę, czyż w pijanej prostytutce, obrzucającej go wyzwiskami, nie rozpoznał wspaniałej ongi pani Annice? Czyż nie zapomniał o bólu w rozkosznej świadomości, że jej przekleństwa były daremne, i nie wyszydził jej drwiąco, brutalnie? Mało tego! Kiedy w pewnej części Riwiery wybuchła epidemia zarazy i wszyscy przybysze z innych stron zaraz puciekali, wykorzystał on swą nietykalność, by pozostać na miejscu i pielęgnować chorych, tym samym dając prasie powód do rozgłoszenia odwagi i poświęcenia pana Orange'a. A wszystkie te pomyslnie zdarzenia dopełnił nagle jeden, niezwykle wypadek.

Zdarzyło się to w zimowy poranek, około trzeciej, kiedy znalazł się w dzielnicy Kilburn i dostrzegł na niebie purpurową plamę. Bardziej z lenistwa niż z innego powodu ruszył w kierunku ognia; ale gdy podszedł na odległość wzroku, zdumiała go dziwna nieco rzecz. Zauważył bowiem w oknie wysokiego, płonącego domu kobietę z dzieckiem w ramionach, którą najwyraźniej czekał los straszliwy, zważywszy na gwałtowność płomieni. Nagłym ruchem Rupert zerwał swój płaszcz.

— Gdzie mogę znaleźć szefa? — zapytał człowieka, stojącego w pobliżu. — Bo chcę tam wejść na górę.

Jegomość odwrócił się, a widząc Ruperta w jego wieczorowym stroju, roześmiał się drwiąco.

— Słyszysz, Bill! - zawołał do kolegi. — Ten gość mówi, że chce wejść na górę! — a szydercza odpowiedź drugiego dotarła do uszu Ruperta, kiedy przeciskał się przez tłum.

Dzięki listowi, który miał przy sobie, albo innemu podobnemu świadectwu, spełniono prośbę Orange'a, a następnie zebrani ujrzeni przystawioną do budynku drabinę i postać mężczyzny, wspinającą się w obłokach dymu. Wchodził coraz wyżej i wyżej, a płomienie pełzały i trzaskały wokół niego, osmalając jego ciało; wyżej i wyżej, aż prawie dosięgnął okna, a w tłumie wybuchły dzikie okrzyki na taki dowód bohaterstwa. Jednakże w tej samej chwili budynek zachwiał się i runął, Orange zaś bez szwanku został pochwycony przez jakieś silne ramiona, podczas gdy kobieta i dziecko ponieśli śmierć w ruinach. Oczywiście wydarzenie to już następnego dnia stało się głośnie na świecie; przez kilka tygodni Orange z ręką na temblaku stanowił malowniczą postać w kilku londyńskich salonach.

A jednak któż z nas powie, że Orange, który wszak sprawdził, że śmierć go nie tyka i był w tym silnie utwierdzony, rozmyślnie dokonał tego bohaterskiego czynu, by powiększyć swą sławę, podbudować swój honor? Uprzednio już stwierdziłem, że osądzając go musimy zachować ostrożność, i znów muszę przy tym obstawać. Jeśli o mnie chodzi, to przykro by mi było, gdybym miał myśleć, że żaden piękny, miłosierny Duch nie dostrzeże tego bezinteresownego odruchu, którego celem nie było zdobycie chwały czy reklama, i nie policzy go temu człowiekowi za uczciwość.

Lecz czas upływał, lata przemijały, aż nadszedł ostatni miesiąc owego piątego roku, co dla Orange'a oznaczało kres jego lat. W dniach szczęścia i siły nie zastanawiał się nad tą chwilą, zaplanował, że w ostatnim dniu tego roku wyszuka jakąś turnię w górach Szwajcarii i tam spotka śmierć, nadciągającą po wschodzie słońca, ze spokojnym, pewnym wzrokiem. Niestety! Teraz, ku swej udręce, poczuł szarpiające za serce pragnienie, silniejsze od jego woli. aby raz jeszcze odwiedzić widownię swej biedy, raz jeszcze spojrzeć na miejsce, gdzie podpisał swój kontrakt. Upewniłem się, z jego własnego listu, który sam widziałem, że podejmując podróż do Nowego Jorku Rupert nie myślał o odsunięciu swego przeznaczenia. Statek „Cambria”, na którym płynął, miał przybić do Nowego Jorku na cały tydzień przed końcem roku: jednakże natrafił po drodze na przeciwne wiatry i fale, przeto dopiero pod wieczór trzydziestego pierwszego grudnia statek dojrzał światła na Fire Island.

Kiedy parowiec szybko zbliżał się do Sandy Hook. Orange stał samotnie na pokładzie, obserwując dym z komina statku, toczący się w kierunku pełnego morza, i wtem spostrzegł, jak z chmury powstaje obraz, groźny i ponury, Boga Ojca.

IV

Podczas gdy „Cambria” podpływała do miasta, rankiem w dniu Nowego Roku, opanowało Orange'a jakieś szaleństwo, obłąd niemal, oraz niepohamowane obrzydzenie na widok znanych miejsc — Castle Garden, iglicy kościoła Świętej Trójcy. Z pasją przeklinał samego siebie, za to że nie został w Europie, przeklinał godzinę, w której się narodził, oraz (przede wszystkim!) przeklinał godzinę, w której podpisał ów fatalny kontrakt. Zaledwie przycumowano statek do mola, pospieszył na brzeg i zostawiając służącego, by zajął się bagażem, wskoczył do dorożki i polecił woźnicy ruszyć „w górę miasta”.

— A dokąd, szefie? — zapytał człowiek, spoglądając na niego z zaciekawieniem.

— Do „Zajazdu Hoffmana” — odrzekł Orange, nim jeszcze pomyślał. Chwilę później znów się przeklinał, ale polecenia nie zmienił.

Jak powiedziałem, woźnica spojrzął na Orange'a z zaciekawieniem, bo też po prawdzie przedstawiał on sobą dziwny widok. Znikła gdzieś cała godność jego postawy: oczy miał

przekrwione. a cera jego była żółtawa; był nie ostrzyżony, krawat miał rozwiązany, a kołnierzyk rozpięty. Kiedy przejeżdżał dobrze znanymi ulicami, narastało w nim przerażenie, wykrzykiwał nienawistne, obrzydliwe rzeczy, wierząc się w pojeździe i tocząc pianę z ust, a gdy dojechał do hotelu, w roztargnieniu wybił ręką okienną szybę, która zraniła go do samej kości.

— To wypadek — wysapał chrapliwie do portiera, który otworzył drzwi. — Drobny wypadek! Niech cię diabli! — zawył — nie widzisz, że to tylko wypadek? — i ruszył przez hall do recepcji, zostawiając za sobą krwawy ślad. Urzędnik za ladą, dostrzegając jego wzburzenie, miał właśnie odmówić mu pokoju, gdy jednak Orange wpisał swoje nazwisko do księgi gości, uśmiechnął się sztucznie i polecił przygotować najlepsze apartamenty. Orange wycofał się do tych apartamentów i dzień cały przesiedział owładnięty posępnym przerażeniem. Na wypadek nagłej śmierci był poniekąd przygotowany: zawarł układ, kupił sobie wyzwolenie od trosk, będących brzemieniem wszystkich mężczyzn, i wiedział, że musi spłacić ten dług; ale na jakieś nieznanne, perfidne nieszczęście przygotowany nie był. Nie był na tyle głupi, by sądzić, że ten, którego jest dłużnikiem, ustąpi; był jednakże całkowicie bezradny, jeśli chodzi o sposób zrealizowania długu przez jego wierzyciela. Myślał i myślał, pocierając twarz, aż poczuł, że głowa niemal mu pęka; w nagłym spazmie z fotela spadł na podłogę i całą tę noc przeleżał dotknięty dudem brzuszny.

Tygodniami leżał z rozpalonym czołem i błyszczącymi oczyma, a najłżejsze przykrycie było dlań zbyt ciężkie, lód zaś zbyt gorący. Lecz nawet gdy zdawało się, że znana choroba została opanowana, wdały się jakieś powikłania, które zdumiały lekarzy: bolesne wymioty, wstrząsające ciałem pacjenta i pozostawiające po sobie wyczerpanie pokrewne śmierci, a także przedziwny, odrażający rozkład ciała. Był on tak jadowity, że jedna z pielęgniarek, która opiekując się chorym dotknęła go i zapomniała natychmiast zdezynfekować rękę, zmarła w przeciągu kilku godzin. Wkrótce potem doszło jeszcze zapalenie płuc. Mogłoby się wydawać, że Orange teraz doświadczał wszystkich chorób, od których był wolny przez ostatnie pięć lat, albowiem oprócz tych cielesnych dolegliwości popadł w obłęd i zaczął majaczyć. Ci, co go pielęgnowali, mimo iż przyzwyczajeni do scen gwałtownych, wzdragali się i chwyтали za ręce, słysząc jego wrzaski, miotane przekleństwa, i uświadamiając sobie jego skrajny strach przed śmiercią. Czasami także słyszeli, jak łka cichutko i szepce strzępki pacierzy, których nauczył się w dzieciństwie; jak modli się do Boga, by wybawił go w tych mrocznych godzinach z pułapki szatana.

Aż w końcu, pewnego wieczoru pod koniec marca, Orange częściowo odzyskał jasność umysłu i poczuł, że musi wstać i nałożyć ubranie. Pielęgniarka, myśląc, że pacjent odpoczywa w ciszy, i lękając się, że blask lampy mógłby go zmęczyć, zgasiła ją i wyszła na pewien czas; toteż bez przeszkód, chociaż zataczając się od zawrotów głowy i palony gorączką, Rupert po omacku odszukał swą odzież i garnitur. Ubrawszy się, zarzucił płaszcz na ramiona i zszedł na dół. Ci, których napotkał i którzy go poznali, spojrzeli na niego ze zdziwieniem i niejasnym lękiem; jednakże na pozór był przy równie zdrowych zmysłach co oni, przeto przeszedł przez hall nie zatrzymany. Wstąpił do baru i zamówił brandy. Barman, który go znał, zakrzyknął ze zdziwieniem; ale nie otrzymał odpowiedzi od Orange'a, który wlewając w siebie solidną porcję ognistego trunku w swym rozpalonym ciele znalazł go zimniejszym od wody z lodem. Wypiwszy brandy, wyszedł na ulicę. Był to ponury, stosowny do pory roku wieczór i padał przejmujący, mroźny deszcz, lecz Orange, jak gdyby ta okropna pogoda była ledwie niepożądanym chłodem, szedł dalej, pomimo iż drżał w napadzie zimnicy. Kiedy stanął na rogu Dwudziestej Trzeciej Ulicy, w rozpiętym płaszczu, mokrej od deszczu ze śniegiem koszuli i cienkich butach, przesiąkających błotem, w którym stał po kostki, nadszedł jeden z członków jego klubu.

— Wielki Boże, Orange! — odezwał się do niego. — Nie powiesz mi chyba, że wychodzisz w taką noc? Pewnie się czujesz dużo lepiej, co? — przerwał, ponieważ Orange rzucił

mu ponure spojrzenie oczyma pozbawionymi namysłu; i mężczyzna odszedł z pośpiechem, wylękony i nieco skonsternowany. — Dziwni jacyś ci poeci — mruknął z niepokojem, skręcając do „Hotelu przy Piątej Alei”.

Nikt nigdy nam nie opowie o wydarzeniach przerażających i makabrycznych, jakie wydarzyły się tej strasznej nocy, kiedy dusza ludzka płaciła cenę zdumiewającego pogwałcenia porządku wszechświata. Zamazane, odrażające i potworne wizje spelunek, piekieł, gdzie zbierają się najgorsze męty społeczne, człowieka, który go opluł, kobiety, która wyzywając najgorszymi słowami uderzyła go w twarz parasolką — takie, a nawet wstrętniejsze wizje objawiły się Orange'owi, kiedy o trzeciej nad ranem znalazł się w owej osobliwej dzielnicy Nowego Jorku, zwanej „Miasteczkiem”.

Deszcz ustąpił ciężkim opadom śniegu, a gdy Orange tak stał, podeszła niechlujna nierządnicą, wyrzutek nad wyrzutekami, zaczepiając go w zwykły sposób:

— Chodź ze mną... no, chodź! — powiedziała, trzęsąc się z zimna. — Postawię ci u mnie kielicha.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, spojrzała mu w twarz, wydając okrzyk odrazy i strachu.

— Słuchaj no! — warknęła ostro, tłumiąc w sobie wstręt. — Popiłeś za dużo i jesteś wstawiony. Chodź ze mną, a dobrze się wypisz.

Na te słowa Orange odwrócił się i patrzył na nią z bezmyślnym, posepnym, ogłupiałym uśmiechem. Podniósł dłoń, a ona cofnęła się.

— Boisz się mnie? — zapytał, ale nie szorstko, lecz spokojnie, łagodnie nawet, niczym człowiek mówiący przez sen. Potem poszli razem, aż dotarli do zrujnowanego domu nie opodal rzeki. Weszli do środka i skręcili do brudnego pokoju, oświetlonego płonącym palnikiem gazowym.

— No, kochasiu, daj mi coś grosza — powiada kobieta — to dam ci się dobrze napić.

I znów nie otrzymała od niego odpowiedzi, tylko ten sam bezmyślny uśmiech, który stawał się już przerażający.

— Dawaj pieniądze, słyszysz! - krzyknęła kobieta piskliwie. Schwyciła go i przeszukała jego kieszenie wprawnymi ruchami, znajdując trzy centy.

— Coś ty se, psiakrew, myślał, przychodząc tu tylko z tym! — wrzasnęła kobieta, wyciągając ku niemu nędzne monety. Uderzyła go; jednakże była mocno wystraszona; więc podeszła do schodów.

— Hej! Tom... Tommy! — zawołała. — Zejdź no tu i wylej tego włóczęgę!

Po schodach zszedł wielki, potężny mężczyzna i spojrzał przez moment na Ruperta stojącego w świetle palnika, podczas gdy kobieta wyrywała mu spinki z mankietów koszuli. Przez chwilę mężczyzna stał, pocąc się i czując mdłości, a później, z olbrzymim wysiłkiem, podszedł do Orange'a i chwycił go za kołnierz.

— Dalej, jazda stąd! — powiedział. — Takich jak ty nam tu nie trzeba! — Zaciągnął Orange'a do drzwi wejściowych i pchnął nieszczęśnika tak silnie, że ten upadł na chodnik i stoczył się do rynsztoka.

A potem, już rankiem, znalazł go tam jakiś przechodzień: zmarłego przed drzwiami niechlujnej nierządniczy.

Przełożył Robert Ginalski

SPIS TREŚCI

A. M. Burrage — Koleżanki (<i>Playmates</i>)	02
K. Nesbit — Rycerze z marmuru (<i>Man-Size in Marble</i>)	16
Bram Stoker — Gość Drakuli (<i>Dracula's Guest</i>)	23
Vincent O'Sullivan — Kontrakt Ruperta Orange'a (<i>The Bargain of Rupert Orange</i>)	31